



TAJEMNICĘ PORTU...

...w Amsterdamie, która osłaniała dotąd dramatyczną walkę tamtejszych władz celnych z przemytnikami narkotyków, wyświetla nasz sensacyjny reportaż, zamieszczony wewnątrz numeru.

Nr. 7

11 LUTEGO 1934 roku.
Rok IV. Cena 30 groszy.

Nie zamilkło jeszcze echo ohydne go mordu, dokonanego przez niewykrytych sprawców na osobie generała Henryka Zygmunta Rynkiewicza, gdy nowa wieść tragiczna zelktryzowała miasto.

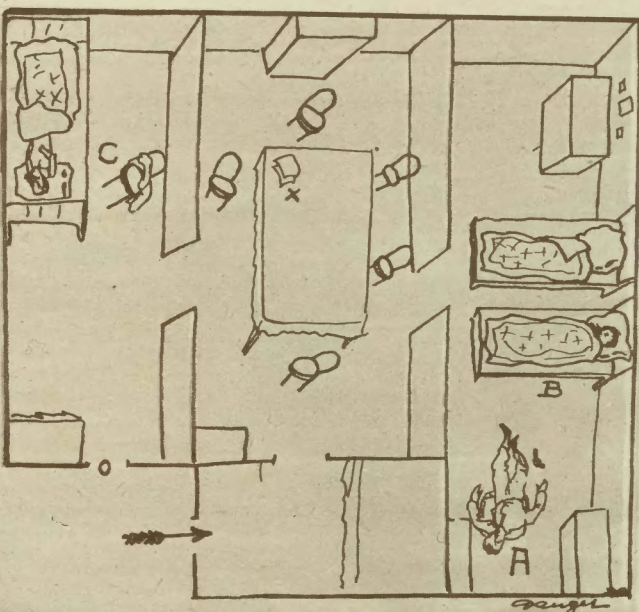
Wilno
(od naszego korespondenta).

Podawano ją z ust do ust: w jednym z mieszkań przy ul. Wileńskiej 36, urzędnik Izby Skarbowej Michał Szabliński zastrzelił żonę i córkę, a następnie popełnił samobójstwo. Powodem tego kroku miała rzekomo być groźba redukcji denata, a ponieważ żyjemy wciąż pod znakiem ostrego kryzysu ekonomicznego, więc nie można się dziwić, że społeczeństwo tragedję tę wzięło sobie bardzo do serca. Dlatego też w ciągu dnia przed domem gromadziły się tłumy ciekawych, żadnych dowiedzenia się szczegółów i ujżenia chociaż mieszkania. Zbiegowiska niekiedy dochodziły do tak wielkich rozmiarów, że policja musiała interwenjować, by utrzymać na ulicy porządek. Tło tej sprawy, według zebranych przez nas informacji przedstawia się następująco:

Tajemniczy Pan P.

Przed kilku tygodniami organa bezpieczeństwa publicznego wpadły na trop pomysłowej afery. W związku z tem aresztowano pewnego osobnika, którego osadzono w więzieniu. (Nazwiska owego pana nie możemy ujawnić, gdyż policja utrzymuje je w tajemnicy ze względu na toczące się obecnie śledztwo. Natomiast w dalszym ciągu reportażu będziemy posługiwać się pierwszą jego literą P.) Otóż P. czerpał z niewiadomego źródła informacje o zadłużeniu poszczególnych urzędników skarbowych, które wyzyskiwał w ten sposób, że zwracał się do nich z wykazem długów i oświadczał, że chce im pomóc. Jednym obiecywał wyrobić kredyt w przedsiębiorstwach bankowych, innym rozłożyć zaległości na dalsze raty, to znowuż, ponoc proponował za łapówki umarzanie podatków itd. Jeżeli któryś jednak przyjął jego pomoc — padał szybko ofiarą oszustwa, gdyż pan P. — jak to potocznie się mówi — kończył swą akcję na wyciągnięciu gładkim sposobem gotówki. Te operacje pana P. skończyły się wkrótce, on sam zaś osiadł w więzieniu. To jeszcze nie wyświetliło sytuacji. W dalszym ciągu nie wiadano, kto oszustowi dostarczał tych informacji, a musiała to być osoba blisko stojąca kontroli skarbowej, bo wiadomości były zawsze ścisłe. Władze Izby Skarbowej zaczęły gruntownie badać tę sprawę. Pewnego dnia ktoś doniósł prezesowi Radyńskiego, że urz. Szablińskiego łączy ścisła znajomość z p. P.

Tragedia Szablińskich.



sporządzaniu obiadu. Zastala — jak poprzednio wożny — drzwi zamknięte, a na pukanie nikt nie dawał odpowiedzi. Przypuszczając, że chwilowo nikogo niema w domu, wyszła na ulicę, przespacerowała się i po upływie pół godziny wróciła zpowrotem. Gdy i tym razem zastala drzwi zamknięte, udała się do dozorey, pytając, czy nie wie przypadkiem, dlaczego mieszkanie jej chlebobodców jest zamknięte. On również nie wiedział. Stali więc oboje i zastanawiali się nad dziwnym zachowaniem lokatorów. W pewnej chwili dozorca zwrócił uwagę na okna, które były zamknięte okiennicami, mimo, iż dochodziło prawie południe. Zbliżył się do okna i starał się przez szparkę w okiennicy dojrzeć, co się w środku dzieje. Na oknach wisiały firanki. Dojrzeć więc nie mógł nic, ale zobaczył palące się światło. To go zastanowiło: w mieszkaniu pali się światło, a nikt nie daje znaku życia.

Podzielił się swem spostrzeżeniem ze służącą i sąsiadami, którzy wyszli na podwórze i, po nradzie z nimi, pobiegł do komisariatu P. P. Wkrótce przybył posterunkowy. Zaczął on dobijać się do drzwi, lecz odpowiedziało tylko echo. Wtedy otworzył nożem lufek w oknie kuchni i po wybiściu szyby posterunkowy dostał się do wnętrza. Pierwszy wszedł policjant. Znalazł się w kuchni, dość schludnie urządzonej, lecz tu długo nie zatrzymał się, lecz przeszedł do pokoju sąsiedniego, jadalnego. Zlustrował wzrokiem wnętrze i udał się w stronę uchylonych drzwi z lewej strony lokalu. Zapukał, lecz nikt mu nie odpowiedział. Wszedł przeto do środka. Znalazł się w sypialni, skromnie lecz z gustem umeblowanej, zawierającej dwa łóżka. Na jednym z nich leżała kobieta, w oddali pod ścianą w fotelu siedział mężczyzna w pozycji jakby drzemał. Mała jednak ranka na twarzy wskazywała na co innego — mówiła straszliwą prawdę, że mężczyzna nie żyje. Posterun-

Na lewo: Plan sytuacyjny mieszkania Szablińskich po wykryciu zbrodni (A. zwłoki Szablińskiego — B. jego żony — C. jego córki — x. oznacza pismo, które Szabliński pozostawił na stole w jadalni).



Powyżej od lewej: Kostnica szpitala św. Jakóba w Wilnie. Groby Szablińskich na cmentarzu wojsk. na Antokolu w Wilnie.

Michał Szabliński.

Michał Szabliński, lat 56, od 11 lat był urzędnikiem Wileńskiej Izby Skarbowej. Pełnił funkcje kontrolera z ramienia Izby. W ciągu swojej wieloletniej pracy zdobył sobie u kolegów szacunek, zaś u przełożonych uznanie i jaknajlepszą opinię dzięki sumiennemu wykonywaniu swych obowiązków. To też można sobie wyobrazić zdumienie prezesa Radyńskiego, gdy dowiedział się o tej znajomości. Nie chciał wierzyć i dlatego kazał natychmiast Szablińskiego wezwać do siebie. W obecności dwóch naczelników urzędnik wyjaśnił, że zna pana P., gdyż żona owego pana udziela jego córce lekcji muzyki. Znajomość zaś datuje się stosunkowo od niedawna. Tłumaczenie to było dostateczne i prezes uwierzył mu, lecz nie chąc, by sprawa nabrała rozgłosu, zamierzał przenieść Szablińskiego na równorzędne stanowisko do jednego z Urzędów Skarbowych na terenie miasta. Szabliński z tem się zgodził i z dniem 1 lutego miał objąć nowe stanowisko. W ostatnich dniach stycznia Szabliński wydawał się wszystkim bardzo zdenerwowanym. Gdy pytano go o powód, odpowiadał z uśmiechem, że mu nic nie jest i wogóle się dziwi, skąd mogło powstać takie przypuszczenie. W sobotę 27 stycznia Szabliński uporządkował w biurze akta, ułożył według numerów wszystkie sprawy i wręczył je jednej z urzędniczek, razem z nim pracującej, prosząc, by zaopiekowała się jego resortem. Na pytanie: dlaczego? — nie nie odpowiedział. W niedzielę zaś przyszedł do lokalu Stowarzyszenia Skarbowców, mieszczącego się w domu przy ul. Mickiewicza 22, gdzie pełnił od trzech lat funkcje buchaltera. Tu również uporządkował wszystkie rachunki, poczynił wpisy, oraz sporządził wyciągi. Księgi pozostawił w wzorowym porządku. W domu nie zjawił się tego dnia na obiedzie. Wrócił dopiero późnym wieczorem.

Wstrząsające odkrycie.

W poniedziałek dnia 29 ub. miesiąca miał Szabliński odbyć z prezesem Radyńskim konferencję w związku z projektowaną zmianą stanowisk. Ponieważ na oznaczoną godzinę nie przyszedł do biura, zaniepokojony tem prezes posłał woźnego do mieszkania dowiedzieć się o powód nieobecności. Po upływie pół godziny wożny wrócił, oświadcza- jąc, że mieszkanie jest zamknięte i na pukanie nikt nie odpowiada. Koło godz. 11-tej do drzwi mieszkania Szablińskich zapukała służąca, która przychodziła sprzątać mieszkanie i pomagać przy

Sp. Eugenia Szablińska (zdjęcie z pierwszej klasy gimnazjalnej)



Dom przy ul. Wileńskiej 36 w Wilnie, gdzie rozegra się dramat Szablińskich.

kowoy spojrzał na kobietę. Ta również już nie żyła. Czempredzej wyszedł, zamknął mieszkanie i, zakazawszy zaglądać do wnętrza, pobiegł do komisariatu zdać relację ze swego odkrycia.

Lustracja mieszkania.

W niespełna kwadrans na miejsce wypadku przybyły władze prokuratorskie, policja i lekarz, który stwierdził zgon i orzekł, że śmierć nastąpiła nad ranem. Przeprowadzona została lustracja mieszkania. Wykazała ona przedewszystkiem, że w całym mieszkaniu panował wzorowy porządek; wszystkie przedmioty znajdowały się na właściwych miejscach, a nawet bielizna żony Szablińskiego i jej córki znajdowała się złożona na krzesłach, tak, jak ją obie kobiety w niedzielę wieczorem ułożyły. W sypialni na łóżku leżała w koszuli nocnej żona urzędnika 37-letnia Klaudja Szablińska. Mała ranka na skroni, pochodząca od kuli broni małokalibrowej, wskazywała, że została zastrzelona z stosunkowo niedużej odległości. Do połowy okrywała ją koldra. Oznacza to, iż zastrzelono ją w czasie głębokiego snu. Opodał pod ścianą, jak już wspomnieliśmy, znajdował się trup męża Michała Szablińskiego. Siedział w fotelu z wyciągniętymi naprzód nogami, opuszczonemi nadół rękami i z opadłą na piersi głową. Z prawej jego strony leżał rewolwer. (Dokończenie na str. 6-ej).



przewodzący patrol pies policyjny zwał ciał ludzkie w jednej z małych kotlinek cegielni. Jak się okazało, kotlinka ta jest w lecie dołem-sadzawką z której robotnicy czerpią wodę dla wyrobu cegieł. W dole tym policja znalazła znowu kilkanaście poćwiartowanych części ciała ludzkiego. Wdrożono dalsze poszukiwania i na terenie cegielni w promieniu ok. 300 m. znaleziono część stopy, część ramienia i wnętrzości ludzkie. Poszczególne kawałki rozrzucone były po śniegu identycznie, jak w Parku Kilińskiego. Natychmiast o tem odkryciu powiadomiono te same władze śledcze, które przybyły na miejsce i dokonały oględzin terenu. Spisano odpowiednie protokoły, a znalezione części ciała zabrano do Instytutu Medycyny Sądowej do badania.

Fakt powyższy wywołał we Lwowie niesłychane wrażenie. Lekarze mieli dojść do wniosku, że chodzi tu o mord seksualny, dokonany przy pomocy siekiery i noża. Zbrodniarz, po zabójstwie, posiekał ofiarę na kawałki, które rozsypał w różnych punktach miasta.

W jedwabnej pończosze.

Trzecia „bomba” pękła wieczorem, gdyż w dalszych dwóch miejsc sygnalizowano o odnalezieniu poćwiartowanych części ciała ludzkiego. Mianowicie kilka zamarzniętych brył ciała ludzkiego znaleziono w koszu na śmiecie w Parku Stryjskim (części uda) i w odległym znacznie od tego punktu Parku Jordana (części rąk bez palców). Ponadto w czasie skrupulatnych poszukiwań na terenie cegielni Nachta znaleziono w śniegu jedwabną pończochę damską, w której znajdowały się kawałki nogi,

Na lewo: Komisja na wzgórzach Tarnawskich (x) aspirant P. P. Respond biorący udział w dochodzeniach polic.

LWOWSKI KÜRTEŃ WYKRYTY!

Lwów, (od naszego korespondenta).

Nie minęły jeszcze echa potwornego morderstwa, dokonanego we Lwowie w biały dzień na osobie emerytowanej nauczycielki przez jej pasierbą, — a już znowu Lwowem wstrząsnęła wieść o okropnym odkryciu, jakiego dokonano w ustronnym miejscu Parku Kilińskiego. Wieść ta i jej wersje urosły do fantastycznych rozmiarów.

Co się stało? Gdzie? Kiedy i kogo?

Wyjaśnienie, aczkolwiek lakoniczne, nadeszło rychło i brzmiało: Znaleziono poćwiartowane części zwłok ludzkich.

Przez chwilę przesunęły się przed oczyma wizje potwornych zbrodniarzy Harmana z Hamburga i „upiora z Düsseldorfu” Kürtena. Przypominano sobie kilka innych podobnych wypadków, np. pamiętny fakt znalezienia zwłok kobiecych w walizce nadanej do Warszawy oraz zabójstwo żony i poćwiartowanie jej zwłok przez jej męża Tomasza Palucha pod Krakowem (głowy ofiary nie odnaleziono!). Niedawno dopiero wyłowiono we Wiedniu z Dunaju walizę, w której znajdowały się poćwiartowane zwłoki zamordowanego mężczyzny. Zdarzały się takie wypadki... ale we Lwowie — wypadek taki jest pierwszym.

Tembardziej zaskoczył władze bezpieczeństwa i społeczeństwo, śledzące z naprężoną uwagą dalszego przebiegu dochodzeń.

Współpracownik naszego pisma otrzymawszy wiadomość o odkryciu na bocznej ścieżynie, w jarze Parku Kilińskiego, udał się natychmiast na miejsce, gdzie stwierdził następujący stan rzeczy:

Równoległe do ul. Poniatowskiego, w nowozabudowanej dzielnicy Lwowa, ciągnie się aleja Parku Kilińskiego, przyczem tuż obok jezdni, przy dobrze utrzymanej ścieżce znajduje się około jednometrowej głębokości jar. W jarze tym leży od szeregu miesięcy piasek, służący do budowy nowowozosznego przy ul. Poniatowskiego Domu Akademickiego, obiektu oddalonego od tego punktu o szerokość jezdni. Do jaru tego przychodzili codziennie po piasek robotnicy budowlani oraz funkcjonariusze miejscy, zajęci przy utrzymaniu Parku. Gdy ostatni raz pobierano z nasypu piasek niczego tam podejrzanego nie zauważono. Aż nagle, jeden z robotników, niejaki Szustra, zajęty nabieraniem piasku do wia-

dra natknął się na pokrytą skórą ludzką, nieco nadpaloną, kawały mięsa. Przerażony odkryciem Szustra udał się do dozorczy pobliskiego Placu Targów Wschodnich Jana Czyży, któremu opisał, co zobaczył przed chwilą. Zkolei Czyż zawiadomił policję, która natychmiast udała się na miejsce.

Gdzie jest głowa?

Na ulicy Poniatowskiego, zaległej w międzyczasie przez masy publiczności zjawia się po upływie kwadransa komisja sądowo-lekarska oraz Wydział Śledczy. Przybyli: prok. Dr. Mostowski, sędzia śl. Dr. Kapuściński, lekarz sądowy Dr. Kozłowski, kom. Mika, asp. Bartuzel i w. i. W pierwszym rzędzie policja izolowała cały teren w promieniu jednego kilometra, aby możliwie nienaruszonymi zachować ślady, widoczne na śniegu. Zarządzono skrupulatne badanie terenu, na którym znaleziono łącznie jedenaście kawałków poćwiartowanego ciała ludzkiego, rozrzuconego w trzech miejscach. Wszystkie kawałki ciała ludzkiego noszą ślady spalania, przyczem łącznie ważą około 14 kg. Mimo skrzętnych poszukiwań w całym parku Kilińskiego oraz wzdłuż nasypu pobliskiego toru kolejowego, nie zdołano zrazu odnaleźć rąk, nóg i głowy ludzkiej. Dokonano na miejscu zdjęć, poczem znalezione części poćwiartowanego ciała ludzkiego zapakowano w leżący opodal papier (w którym najprawdopodobniej zostały przewiezione) i odstawiono je do Instytutu Medycyny Sądowej. Charakterystycznym jest, że dokoła miejsca w którym leżały poszczególne części ciała ludzkiego nie natrafiono na ślady krwi, co wskazuje na to, że zostały przywiezione już w stanie zastygłym i porzucone na piasku.

Zachodzi pytanie kto i w jakim celu części pokrajanego ciała rozrzucił w trzech miejscach. Niemniej nasuwa się wiele innych pytań, tem bardziej że niema żadnego konkretnego punktu zaczepienia, któryby naprowadzić mógł na właściwe tory, pozwalające rozwiązać tajemniczą zagadkę poćwiartowanych zwłok.

W Instytucie Medycyny Sądowej przeprowadzono skrupulatne badanie znalezionych części ciała ludzkiego. Na tem skończył się pierwszy dzień sensacji we Lwowie.

Nazajutrz policja przetrząsnęła pozostałe peryferie miasta i za rogatką Zieloną, w cegielni Nachta dokonano znowu okropnego odkrycia: Mianowicie

okropnie pogruchotane.. Pończochy te sięgają aż do uda. Ogółem w ciągu dwóch dni zebrano w ciągu dwóch dni zebrano w czterech punktach miasta 35 kawałków poćwiartowanego ciała kobiety.

Mord seksualny?

Zwraca uwagę fakt bestjałskiego zaciętrzewienia tajemniczego potwora, który mógł rozrzucić poćwiartowane części zwłok w jednym miejscu.. Nie zadowolili się tem jednak i rozwoził części pokrajanego ciała ludzkiego po całym Lwowie. Fakt, że znaleziono 35 sztuk ciała w Parku Kilińskiego, Parku Stryjskim, Parku Jordana i na cegielni Nachta świadczy o premedytacji sprawy, który albo chciał pastwić się nad ostatnimi szczątkami zmasakrowanej ofiary, albo też starał się uniemożliwić identyfikację ofiary.

Także władze prokuratorskie sądzą, że ma się do czynienia z mordem seksualnym.

W Instytucie Medycyny Sądowej przeprowadzane są badania poszczególnych części zwłok dla ustalenia (choćby w przybliżeniu) daty śmierci nieznannej kobiety. Wedle opinii lekarzy mogła ona liczyć lat około 28 do 30 i była dobrze odżywiona.

Wykryto sprawcę.

Lwów przeżył kilka dni emocji, emocji niebylejakiej, potęgowanej z minuty na minutę w miarę napływania meldunków z różnych stron miasta o odnalezieniu poćwiartowanych części ciała ludzkiego, rozrzuconych na peryferiach. Późnym wieczorem naprężenie osiągnęło punkt kulminacyjny, gdy miasto obiegła wieść, że zagadka zbrodni została wyjaśniona. Należy podnieść sprawność policji, która wytężyła wszystkie siły, aby znaleźć poszlaki. I osiągnęła cel. Jednocześnie w dwóch miejscach znaleziono punkty zaczepienia, które doprowadziły do wyjaśnienia sprawy. Przy ul. Jabłonowskiej 22 mieszka robotnik brukarski Jan Kołodziej, który ostatnio pozostawał bez pracy. Ten właśnie Kołodziej wezwał w poniedziałek do siebie kilku handlarzy starzyzny i zaofiarował im kupno płaszcza.

(Dokończenie na str. 6-7).



Powyżej od góry: Ofiara Cybulskiego Emilja Szew. — Jar w parku Jordana, gdzie znaleziono część zwłok. — Mikołaj Kołodziej.

Na lewo: Cegielnia Nachta przy ul. Zielonej, obok której znaleziono porzucone części zwłok.



Już w poprzednim numerze podaliśmy Czytelnikom wyczerpujące sprawozdanie z procesu dr. Karola Zajiczka, adwokata i b. generalnego dyrektora dóbr hr. Larisch-Mönnicha. Sprawa zwróciła powszechną uwagę zarówno z uwagi na rozmiary przestępstwa, o które oskarżony był: generalny dyrektor, jak i osobę oskarżonego. Zajiczek oskarżony był o dokonanie sprzeniewierzeń i oszustw na szkodę swojego chlebodawcy na sumę przekraczającą 7 milionów koron czeskich. Suma ta, którą udało się Zajiczce sprzeniewierzyć bez zwracania uwagi hr. Larisch-Mönnicha, musiała obudzić rozliczne rozważania na temat odwagi żręczności i zachłannej chciwości p. dyrektora z poborami wynoszącymi rocznie półtora miliona koron czeskich. Nie na ostatniem miejscu musiała wzbudzić również nieklamany zadowolony podziw dla majątku i dochodu hrabiego, który szkodę zauważył dopiero wtedy, gdy przekroczyła wysokość 7 milionów koron czeskich. A p. dyrektor? — Jak już wspomnieliśmy, jowialna postać dr. Zajiczka stała figlarnie uśmiechniętego i nonszalancko traktującego wszystko i wszystkich, znana była bardzo dobrze na terenie Czech, Austrii, polskiej części Śląska, a całkiem dobrze w Paryżu. To też ci wszyscy, którzy mieli okazję zetknąć się z p. dyrektorem, na birbantę, a takich było bardzo dużo, oraz przy zielonym biurku podczas pertraktacji handlowych, z uwagą śledzili losy oskarżonego.

Rozprawa odbyła się w Morawskiej Ostrawie przed sądem okręgowym. Przewodniczył sędzia sądu okręgowego dr. Hahn, oskarżał prokurator dr. Stanek, bronił z zapalem i przekonaniem adwokat dr. Goliath z Morawskiej Ostrawy i dr. Matous z Pragi.



Karol Zajiczek nad aktami swej sprawy.

ZAJICZEK SKAZANY!

Sensacje na rozprawie.

Rozprawa przeciw Zajiczce nie była nudna — można to stwierdzić stanowczo. Co chwilę z toku przesłuchania świadków i przy odczytywaniu dokumentów wylaniały się sensacyjne fragmenty życia oskarżonego, które wiele ciekawego światła rzucały na stosunki panujące dzisiaj w sferach ludzi wielkiego interesu. Dwa momenty były szczególnie sensacyjne. Moment, gdy Zajiczek na pytanie przewodniczącego spokojnym głosem, ilustrowanym figlarnym uśmiechem na rozlanej twarzy, zaczął tłumaczyć, że kwota 7 milionów koron, wyszczególniona w akcie oskarżenia, ja-



ko sprzeniewierzona przez niego, została całkowicie i wyłącznie zużyta na korzyść jego mocodawcy. A to mianowicie na rozmaite upominki i grzecznościowe świadczenia dla dygnitarzy skarbowych, celem uwolnienia hrabiego Larisch-Mönnicha od jeszcze większych świadczeń podatkowych. Dalsze wyjaśnienia w tej materii po długiej, pełnej napięcia przerwie retorycznej, uznano za zbędne, polecono zbadać tę kwestję, ale jeszcze przed jej zbadaniem hr. Larisch-Mönnich, jako pokrzywdzony i faktyczny promotor oskarżenia, cofnął się od sprawy, rzekając się dochodzenia swojej pretensji. Ba, ale inną rzeczą jest szkoda cywilna, a inną odpowiedzialność karna. To też prokurator w dalszym ciągu popierał w całej osnowie oskarżenie.

Nie brakło też i drobniejszych sensacji. Obrona, chcąc przenieść sprawę przed forum sędziów-laików, wniosła o przekazanie procesu sądowi przysięgłych. Wniosek ten został jednak odrzucony i po kilku dniach rozprawy ferowano wyrok.

Wyrok.

W ubiegły czwartek późnym wieczorem sąd ogłosił wyrok. Narada trwała 10 minut. Oskarżony tak był pewny swojej sprawy i do tego stopnia był wprawiony w błąd przebiegiem rozprawy, prowadzo-



Powyżej: Zamek hr. Larisch-Mönnicha w Karwin Ogólny widok Morawskiej Ostrawy, gdzie toczył się proces Zajiczki. Na lewo: Dyrektor banku przed sądem w Morawskiej Ostrawie.

nej w pogodnym nastroju, że zachowując uśmiechniętą maskę w chwili, kiedy sędziowie udali się na naradę, spokojnie stojąc w korytarzu w gronie swych znajomych i obrońców, żywo komentował mowę oskarżyciela, prokuratora dra Stanka. Śmiał się serdecznie z kilku okolicznościowych dowcipów i zupełnie spokojnie wrócił na salę, gdy zabrzniał dzwonek. Nawet podczas odczytywania pierwszych zdań wyroku uśmiechał się. Nagle w mgnieniu oka zbladł, ciężko opadł na krzesło... a było to wtedy, gdy z ust przewodni. padły złowróżne słowa: „...i skazany zostaje na 4 i pół lat więzienia”.

Był dyrektor dóbr hr. Larisch-Mönnicha dr. Zajiczek skazany został na cztery i pół roku więzienia, na utratę praw obywatelskich na lat dziesięć, pozbawiony tytułu doktora praw, a nadto jakby na pamiętkę sutych libacji, karę więzienia zastrzeżono jednoludniowym postem co trzy miesiące. Jedno tylko było zdanie w wyroku korzystne dla oskarżonego: Zajiczce zaliczono na poczet kary areszt prewencyjny od dnia 16 października 1933.

W motywach wyroku dr. Hahn zaznaczył, iż oskarżonemu poza wszelkimi wątpliwościami udowodniono popełnienie wszystkich przestępstw wymienionych w akcie oskarżenia. A jako okoliczność szczególnie obciążającą przyjęto, że Zajiczek swoje skomplikowane transakcje przeprowadza w sposób rafinowany-oszukiwaczy.

Na zapytanie przewodniczącego, czy oskarżony przyjmuje karę, Zajiczek poprosił o trzy dni do namysłu. Równocześnie jednak obrońca dr. Goliath zapowiedział apelację od wyroku.

W wyrok był żywo komentowany w kuluarach sądu, Zajiczek, który miał dużo przyjaaciół, był powszechnie przez nich żalowany. Sądził oni bowiem, że mimo winy, wysoki wymiar kary krzywdzi ich przyjaciela. A nawet natychmiast zgłosił się jeden, do tej pory anonimowy wielbiciel generalnego dyrektora i oświadczył, że za 600 koron czeskich zobowiąże się odsiedzieć karę więzienia za Zajiczka. A dlatego za tak niską cenę, bo mu się Zajiczek podobą. Bezwątpienia Zajiczek przyjąłby ofertę nawet za kilkakrotnie większym wynagrodzeniem, gdyby nie... przepis ustawy karnej, który nakazuje odcierpienie kary samemu skazanemu.

Zona oskarżonego, Albina Zajiczek, podczas rozprawy bawiła w Wiedniu. Po ogłoszeniu wyroku przybyła do Morawskiej Ostrawy i odbyła z nim dłuższą naradę. Zapytany o plany na przyszłość Zajiczek stwierdził, że nie da się złamać karze, odcierpi ją, a potem uda się do Ameryki, gdzie spodziewa się, że jego talent i rutyna kupiecka będą lepiej ocenione i dadzą mu możność wyciąsania się w przemyśle. Są jednak i tacy, którzy twierdzą, że Zajiczek po odcierpieniu kary zamierza osieść w Polsce, gdzie w Boryslawie na przedsiębiorstwo. Jest tylko kwestia, czy władze polskie pozwolą na pobyt tak „przedsiębiorczemu” obokrajowcowi.

Historia 27 milionów Kc.

Sledztwo wykazało, że Zajiczek w ciągu niespełna siedmiu lat od roku 1925 do 1932 miał do dyspozycji olbrzymią sumę 22 milionów Kc. Rachunek prosty. Zajiczek zarabiał legalnie jako dyrektor dóbr około półtora miljonów koron czeskich rocznie. Sprzenie-

wierzył około 7 milionów koron czeskich. Niezależnie od tego zarobił na swoich prywatnych interesach około 3 milionów koron. Powstała zatem kwestja, co zrobił z tak olbrzymią sumą pieniędzy. Częściowo wyjaśniła ten problem hipoteza poparta wieloma dowodami, że Zajiczek zabezpieczył swoją przyszłość, lokując kapitały w przedsiębiorstwach pod nazwiskami oddanych sobie przyjaciół. A poza tem Zajiczek lubiał życie, a zwłaszcza kobiety. Dużą pozycję w jego wydatkach stanowiły eskapady przy współudziale mężatek. Kończyły się one stereotypowo... odeskodowaniem, albo dobrą posadą dla męża.

Przy rejestracji tych faktów zanotowano przy tem znamienity sze-

gół i odkryto charakterystyczną kolekcję. Zajiczek miał pasję kolekcjonowania loczków swoich wybranek. Chował je w specjalnych kopertach, na których skrupulatnie notował imię, nazwisko, wiek sympatji i inne szczegóły. Zbiór był pokaźny, obejmował 300 kopert. Ujawienie nazwisk figurujących na poszczególnych kopertach, jak mówią wtajemniczeni, wywołałoby wiele wrzawy w Morawskiej Ostrawie, Pradze, Wiedniu, a nawet w Paryżu. W liście wydatków nieostatniego miesiąca zajmowały napiwki po 2 tysiące Kc., a ponadto libacje, podczas których Zajiczek niejednokrotnie każdemu z obecnych wręczał 1000 koron na pamiętkę.

Jeżeli chodzi o operacje prywatne, niezawsze były one szczęśliwe. I tak w firmie Merkuranus w Bratysławie stracił 192 tysiące Kc. W fabryce konserw mięsnych w Cieszynie około miliona Kc. Mimo to saldo prywatnych transakcyj wykazuje pokaźną kwotę 3 milionów koron.

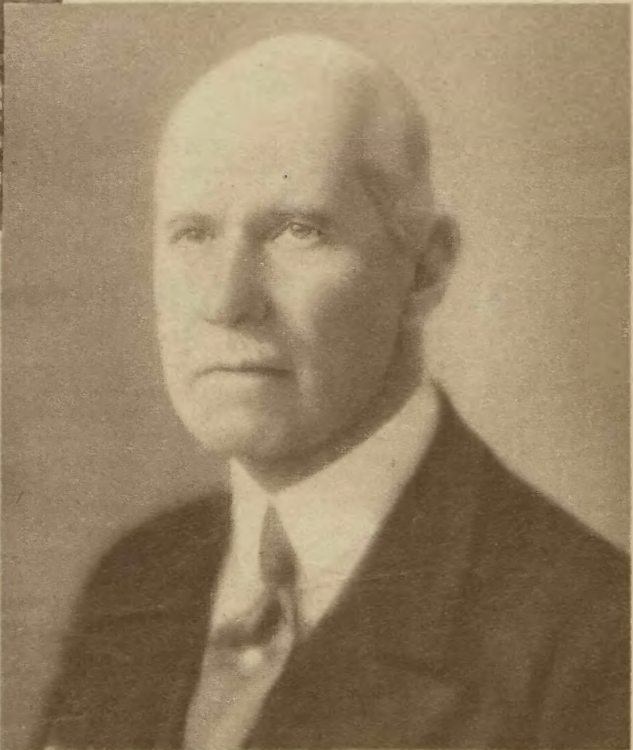
Z aferą Zajiczki kończy się i złożona zostaje do archiwum historii stosunków społecznych lat powojennych jeszcze jedna typowa sprawa człowieka, którego łatwość zarobku wytrąciła z normalnej drogi życia. Oby tych spraw było już najmniej. Wydobytą one bowiem na wierzch te wszystkie orga-

niczne przyczyny kryzysowego załamania się równowagi między produkcją, prowadzoną i pozostającą pod wpływami ludzi pokroju Zajiczki i konsumującą szarą masę pozbawioną możności zaspokojenia swoich najprymitywniejszych potrzeb. Ostre kary i napiętnowanie takich osobników, to jeden ze środków przynaglenia zachwianej równowagi.

Ofiara Zajiczki.

Jeszcze kilka słów o poszkodowanym. Jan Larisch-Mönnich jest właścicielem olbrzymiej posiadłości ziemskiej i szeregu kopalń na tej części Śląska Cieszyńskiego, który pozostał po stronie czeskiej. Stałe zamieszkuje na zamku w Solcu obok Karwiny. Liczy obecnie lat 62, nie jest lubiany przez Czechów, którzy pamiętają o pewnych jego pociąganiach w czasie plebiscytu niedoszłego do skutku. Upatrują w nim przyjaciela Polaków. Zona obecnego władcy na Solcu jest Amerykanka. Pochodzi z Kalifornii, jest córką lorda Mac Friepatricka. Hrabstwo miało pięćro dzieci, trzech synów i dwie córki. Najstarszy syn, dziedzic olbrzymiego majątku, licząc zaledwie 21 lat, zmarł w roku 1932 podczas studiów na Akademii górniczej w Przybramie, nagle zachorowawszy. Obecny dziedzic majoratu 18-letni hr. Edward Larisch-Mönnich, ukończył ósmą klasę gimnazjalną, jego młodszy brat Jan liczy obecnie lat 17. Dwie córki magnata, przebywające przeważnie w domu na Solcu, są to 17-letnia Helena i 12-letnia Mary. Oto rodzina, która ucierpiała wskutek oszukiwanych machinacji Zajiczki. Sam hrabia po cofnięciu doniesienia, które spowodowało aresztowanie Zajiczki, uniika jakiegokolwiek wywiadów na temat afery. Prawdopodobnie po smutnych doświadczeniach z generalnym dyrektorem Zajiczkiem będzie ostrożniejszy w doborze swoich administratorów.

H. Sop.



Hr. Jan Larisch-Mönnich, właściciel Karwiny.

STANISŁAW SZCZĘSNOWICZ

em. naddyrektor Zakładu kary.

OMYŁKI SĄDOWE.

3) Chłopak rzeczywiście poszedł zaraz do sędziego i odwołał swe zeznanie poprzednie, że zapomniał jego, jakby Gościński nikogo nie podpalił, były nieprawdziwe, a on zeznał tak tylko z obawy przed groźbą matki Gościńskiego, że go zabije.

Sędzia wezwał matkę Gościńskiego, która podała, że chłopaka tego od dnia, gdy kłamstwem swym wpędził jej syna do więzienia unikała, bo się na niego patrzeć nie mogła i że z nim nigdy nie rozmawiała.

Wynikiem tych wydarzeń było, że ów Jas, teraz Jan otrzymał oskarżenie o fałszywe zeznania, a jego rodzice za namawianiem syna do fałszywych zeznań, zaś sąd obwodowy w Nowym Sączu uchwalił wznowienie postępowania karnego przeciw Gościńskiemu.

Równocześnie nadszedł do G. drugi list od jego matki, w którym go zawiadamia z radością o wyznaczeniu nowej rozprawy, a zarazem że adwokat w N. Sączu niejaki dr. Sichrawa chce się podjąć jego obrony przy rozprawie.

Potem dowiedziałem się, że rozprawa w sądzie zakończyła się uniewinnieniem Gościńskiego, poczem adwokat jego wniosł do Min. Sprawiedliwości podanie o odszkodowanie za utratę zdrowia, gdyż G. nabawił się w więzieniu gruźlicy płuc. Ministerstwo przyznało mu 10.000 koron, z czego zapłacił swego obrońcę.

Od ówczesnego nadprokuratora dowiedziałem się, że właściwego sprawcy podpalenia nie wy-

kryto, oraz że z powodu tej fatalnej pomyłki sądownej dwu radców poszło na emeryturę.

Gościński za otrzymane odszkodowanie kupił w Muszynie jakąś realność, lecz po śmierci matki sprzedał ją i wyjechał do Ameryki. Nadmienić muszę na marginesie tego wypadku, że w czasie mej 17-letniej służby w administracji więziennej spotkałem się kilkakrotnie ze zdaniem starszych sędziów, że dzieci rzekomo nigdy nie kłamią i zawsze mówią prawdę (co oczywiście jest mylnem).

III.

Epileptik skazany na karę śmierci.

A oto historia epileptyka, który został wskutek tragicznej omyłki sądowej skazany na karę śmierci. Kary nie wykonano, ponieważ cesarz zamienił ją na dożywotnie więzienie. Człowiek ten dostał się później do domu umysłowo chorych w Kulparkowie i może tam jeszcze przebywać.

Jan Zaborowski nazywał się bohater tej tragedii. Ojciec jego Franciszek, funkcjonariusz Straży skarbowej w Pomerzanach pow. Zborów, był aż do roku 1855 człowiekiem trzeźwym i pracowitym. W tym roku umarła mu na chorobę 6-letnia córeczka, bardzo ukochana i od tej chwili stary zaczął pić. Zrazu nie przeszkadzało mu to ani w pracy, ani w awansie. W r. 1856 został asystentem skarbowym w Kolomyji. Tu rozpił się gruntownie i raz pijany upadł tak nieśczęśliwie, że oddał cierpiel aż do końca życia.

W roku 1878 umarł, a przyczyną śmierci było próchnienie kości czaszki, spowodowane wypadkiem. Syn jego Jan Zaborowski przyszedł na świat w roku 1866 jako jedenaście dziecko, gdy ojciec liczył lat 52 i od 10 lat był nalogowym pijakiem. Już jako dziecko miał częste konwulsje, podrośszy, był niesłuchanie drażliwy i popędliwy. Mając lat 17, rzucał na swego brata i opiekuna mościeńca niedługo. Od 14 roku życia zdradzał skłonność do alkoholu, użyć

się nie chciał, tak, że wreszcie rodzina z nim zerwała. W międzyczasie przyjął go do służby w Straży Skarbowej, gdzie również nie panował nad sobą i robił awantury. Przełożeni zamiast poddać go badaniu lekarzy, stosowali jedynie kary dyscyplinarne i przeniesienia na inne miejsca służbowe, gdyż po za tem, o ile nie był pijany, zachowywał się spokojnie.

Z początkiem roku 1900 został przydzielony jako starszy strażnik skarbowy do oddziału Straży Skarbowej w Zawalu na Podolu, w pobliżu granicy rosyjskiej. Nieznośni strażnicy mieszkali zwykle w koszarach Straży Skarbowej i prowadzili wspólną kuchnię. Razu pewnego wyraził się jeden ze strażników, że kucharka oddziaływa ich okradła. Zaborowski słysząc to pochwycił karabin służbowy i pobiegł do kuchni „by zrobić porządek”. Zastawszy drzwi od kuchni zamknięte, strzelił pięć razy przez nie. Karabin odebrano mu, a że był pijany, położono go do łóżka żeby się wyspał. Zaborowski po obudzeniu się nie nie pamiętał, co zrobił. Wypadek ten powinien był zwrócić uwagę przełożonych władz skarbowych, że Zaborowski nie nadaje się do służby z bronią palną.

Zadowolono się jednak znowu wytoczeniem mu dochodzeń dyscyplinarnych i przeniesieniem do oddziału w Skale nad Zbruczem. Skutki tego karygodnego zaniedbania nie dały na siebie długo czekać. Już po 3 miesiącach w czasie zajęcia z Zaborowskim zginął respecjent Straży Skarbowej Julian Piłcki. Zaborowski został zasądzony na karę śmierci wyrokiem Sądu Obw. w Tarnopolu 13-go kwietnia 1900 roku. Miał stanąć już pod szubienicą. Zażalenie nieważności odrzucono, a gdy mu ta kara została wskutek aktu łaski darowana, wymierzono mu dnia 9 marca karę dożywotniego ciężkiego więzienia, połączonego z zamknięciem w ciemnicy w dniu 4 maja każdego roku.

(C. d. n.)

SPRAWA KAZIMIERZA BUSZYŃSKIEGO.

W związku z naszym artykułem z numeru 43-go z ub. roku, a zatytułowanym „Afera Buszyńskiego” otrzymaliśmy następujące pismo:

1) Nieprawdą jest jakoby Spółdzielnia „Elevator Zbożowy” w Sokalu dzierżała od Spółki „Elevatory Zbożowe w Polsce” elevator sokalski, natomiast prawdą jest, że Spółdzielnia „Rolnik” w Sokalu elevator ten dzierżała i wykonywała koncesję, otrzymaną przez Min. Przemysłu i Handlu na prowadzenie Domu Składowego Publicznego w tymże elevatorze po myśli ust. z dn. 24 grudnia 1924 r. Prawdą również jest, że ci sami prawie członkowie z grona Rady Nadzorczej i Zarządu „Rolnika” zajęli nową Spółdzielnię p. f. „Elevator Zbożowy” w Sokalu dla handlu zbożem. Spółdzielnia ta dzierżała zatem od „Rolnika” elevator sokalski.

2) Nieprawdą jest, bym, ciesząc się opinią dobrego pracownika uległ deprawującemu wpływowi stosunków wojennych i załamał się moralnie, bo Sokal — to nie gniazdo rozpusty.

3) Nieprawdą jest jakoby porzucił własne ognisko rodzinne, natomiast prawdą jest, że jeszcze w r. 1918 zmuszony byłem uzyskać sądowo rozdział od stołu i łoża z mą żoną, wykonując do dnia dzisiejszego obowiązek utrzymania i kształcenia syna.

4) Nieprawdą jest jakoby „nigdzie nie mógł zagrześć miejsca”, natomiast prawdą jest, że w Horodence byłem na jednym i tem samym miejscu przez lat 8 (osiem), a po opuszczeniu Horodenci w październiku 1929 r. prowadziłem bez przerwy aż do maja 1931 r. ze współnikiem przedsiębiorstwo handlowo-rolne we Lwowie, które z powodu notorycznej niewyplacalności „ludzi dobrej woli” ze sfer rolniczych — musiało ulec likwidacji. Prawdą jest również, że w październiku 1931 r. zostałem zaangażowany do Sokala w celu prowadzenia elevatora zbożowego i na tem stanowisku, oraz na stanowisku zawiadow-

cy Domu Składowego „Rolnika” pracowałem do czerwca 1933 roku.

1) Nieprawdą jest jakoby wiódł hulastkę i wesołe życie oraz zadawał się z „damami z półświatka”, czynił „wypady do Lwowa”, natomiast prawdą jest, że mieszkając dwa lata w Sokalu żadnej prawie z tańszych „dam” nie znałem, w lokalach zabawowych prawie nie bywałem, bowiem z powodu niefachowego, m. in. bardzo lichy płatnego personelu elevatora miałem aż nadbyt dużo pracy, gdyż prowadziłem elevator i Dom Składowy, oraz miałem szkodliwie fachowy personal — słowem nigdy nie miałem wolnego czasu na „zabawy”, a wieczory samotnie spędzałem w domu, do Lwowa zaś jeździłem tylko służbowo.

6) Nieprawdą jest, by fotografia niejakiej p. Wisi, u-nieszczonej na Nr. 43 „Tajnego Detektwa”, przedstawiała moją „przyjaciółkę”, natomiast prawdą jest, że jest to podobizna mojej służącej Wiktorji Podgórskiej, która pracowała u mnie przez 7 czy 8 miesięcy w charakterze kucharki i była, jako taka, zgłoszona przeze mnie do sokalskiej Kasy Chorych.

7) Nieprawdą jest, by druga fotografia, zamieszczona w tymże numerze „Tajnego Detektwa”, jakiejś kobiety, przedstawiała „jedną z bohaterek afery”, natomiast prawdą jest, że ta kobieta bliżej nie znam, bowiem widziałem tylko podobną osobę, gdy przychodziła w odwiedzin do b. służącej mojej Podgórskiej.

8) Nieprawdą jest, jakoby przyznał się do „winy”, natomiast prawdą jest, że do żadnej „winy” nie przyznałem się, gdyż niczego karygodnego nie popełniłem.

9) Nieprawdą jest, jakoby Spółdzielnia „Elevator Zbożowy” w Sokalu załamała się skutkiem moich czynności, natomiast prawdą jest, że wymieniona Spółdzielnia żadnego prawie kapitału własnego, a nawet udziałowego nie

posiadała, bowiem był swój opierała na tzw. zdeklarowanych, a niewpłaconych udziałach i na kredycie w Banku Polskim do kwoty złotych 35.000. Prawdą jest dalej, że członkowie Rady Nadzorczej i Zarządu Spółdzielni pobierali b. wysokie „marki precenyjne”, bo po zł. 30 jednorazowo od posiadzenia dla członka zamieszczonego i zł 10 dla miejscowego, a posiadzeń takich odbywało się b. dużo, prawie co tygodnia jedno, co wobec braku własnego kapitału musiało doprowadzić do załamania się i likwidacji Spółdzielni.

10) Nieprawdą jest, jakoby kontrola wykryła wielkie braki zboża w magazynie, natomiast prawdą jest, że zażalenie z klientów Domu Składowego publicznego zboża regulaminowo nie brakowało i że wszystkie t. zw. „warranty” zostały w terminie spłacone.

Z poważaniem

Kazimierz Buszyński

Lwów, ul. Domagalewiczów 7.

Powyższe pismo zamieszczamy, zmuszeni do tego przepisami prasażarskiej, bo z roku 1862 pochodzącej ustawy prasowej, która wówczas nie mogła przewidzieć konsekwencji, wypływających z nader „skomplikowanych” afer ala „Sprawa Buszyńskiego”. Niemniej jednak stwierdzamy raz jeszcze na tem miejscu, że wszystkie wiadomości, jakie podał nasz korespondent z Sokala na temat „Sprawy Buszyńskiego” w artykule, zamieszczonym w Nr. 43 z ub. roku naszego pisma, pochodzą z ust tamtejszych obywateli, którzy zarówno z uwagi na urzędy, jakie piastują, jakoteż ze względu na powagę ich wieku zasługują na pełne zaufanie. Wszyscy oni staną na rozprawie karnej Kazimierza Buszyńskiego w charakterze świadków i pod przysięgą zeznają to samo, co opowiedzieli naszemu korespondentowi. Jakże więc w świetle ich twierdzeń wygląda „sprostowanie” p. Buszyńskiego? Ocenę jego wynurzeń pozostawiamy zdrowej opinii mieszkańców Sokala!

Tragedja Szablińskich.

(Dokończenie ze str. 2-ej).

Umiejscowienie rany wskazywało samobójstwo. W pokoiku, położonym obok jadalnego, znajdował się na łóżku trup córki Szablińskich, 15-letniej Eugenji, uczennicy V kl. gimnazjum Sióstr Nazaretanek. Zgon nastąpił wskutek strzału, oddanego w skroń również z bliskiej odległości. Wizja lokalna stwierdziła więc, że Szabliński zastrzelił żonę, następnie córkę, a w końcu popełnił samobójstwo. Zresztą potwierdziła to odnaleziona na stole kartka papieru, wydarta z zeszytu Eugenji, na której Szabliński napisał: „Niech te trzy trupy spadną na sumienie prezesa Ratyńskiego”. Poza tem kartka zawierała dyspozycje, żeby wszelkie ruchomości przekazać jego siostrze, Jadwidze Machowieckiej.

Więść o tem strasznym odkryciu rozeszła się szybko po mieście, wywołując wszędzie wstrząsające wrażenie. Przez cały dzień gromadzili się na ulicy Wileńskiej tłumy ludności. Każdy komentował wypadek na swój sposób, doszukując się przyczyn, które śp. Szablińskiego pchnęły do tego czynu.

Wieczorem tego dnia zwłoki tragicznie zmarłej rodziny przewieziono z mieszkania do kostnicy.

Co pchnęło Szablińskiego do zabicia najukochańszych istot i odebrania sobie życia — tego nie sposób ustalić. W każdym razie należy z całą stanowczością stwierdzić, że o redukcji denata nie było mowy. Miał być przeniesionym na równorzędne stanowisko do jednego z urzędów na terenie miasta i — jak można było wnioskować — nie martwiło go to zupełnie. Inne musiały być powody, były nimi niezawodnie trudności finansowe, w jakich śp. zmarły w ostatnich czasach się znajdował. W roku 1933 śp. Szabliński zażyrował weksle jednemu z kolegów biurowych. Po pewnym czasie owego urzędnika zredukowano, znalazł się on tedy w ciężkim położeniu, a obowiązek spłacania zaciągniętego długu spadł na rączy ciela. Poza tem miał w Jerozolimce działkę ziemi, na której wybudował willę. Nabywając grunta, zadłużył się w Banku Gospodarstwa Krajowego. Dług spłacał ratami. Lecz gdy wynikła sprawa z weksłami, nie uiszczał szeregu rat, co spowodowało wzrost długu do sumy 16.000 złotych. Z tego powodu Bank miał wkrótce wystawić jego posiadłość na licytację. I wreszcie od kilku miesięcy nie uiszczał komornego. Tu również powstały dość poważne zaległości. To też przyczyn, które pchnęły Szablińskiego do okropnego czynu, należy się tylko tu doszukiwać. Emeres.

Lwowski Kürten ujęty!

(Dokończenie ze str. 3-ej)

damskiego, na którym widniały jakby wyprane ślady krwi. Handlarze płaszcza nie kupili, a mając wiadomość z gazet o znalezieniu poćwiartowanych zwłok kobiety, zawiadomili o niedosłej transakcji policję. W ten sposób policja ujęła pierwszą nie, prowadzącą do wyświelenia ponurej zagadki.

Przesłuchany Kołodziej pokazał władzom śledczym płaszczy i oświadczył, że otrzymał go od inwalidy Hieronima Cybulskiego, właściciela kiosku przy ul. św. Zofji, tuż u wylotu ul. Poniatowskiego, prowadzącej do Parku Kilińskiego. To naprowadziło policję na osobę Cybulskiego, b. obrońcy Lwowa, znanego z wielkiego męstwa, którego dowody złożył w czasie zmagani polsko-ukraińskich i walk z bolszewikami. Cybulski jest inwalidą z armji austriackiej, a jako zasłużony w armji polskiej, otrzymał kiosk na najruchliwszym odcinku miasta. Równocześnie traf, zwykły przypadek, który często jest najlepszym detektywem, przyczynił się do zacieśnienia pierścienia dowodu winy Cybulskiego. Mianowicie około godz. 19-tej wieczorem obok kiosku Cybulskiego, przechodził wywiadowca policji Sobolewski, który spotkał Cybulskiego, opuszczającego kramik ze sporym pakietem pod pachą. Znajac Cybulskiego, wywiadowca zapytał: „Jak się masz Genek?” Padła odpowiedź: „Dobrze. Idę właśnie do klienta i odnoszę papierosy”.

Wywiadowca niczego nie podejrzewając, poszedł na Plac Targów Wschodnich i do parku, gdzie znaleziono dalsze pokrajane części zwłok. Później okazało się, że Cybulski wynosił w pakiecie części porąbanego ciała, a indagującemu go wywiadowcy odpowiadał, że niesie papierosy. Gdy po upływie godziny wywiadowca wracając natknął się znowu na kioskarza, w którego rękę ujrzał papier do pakowania, poplamiony krwią, zatrzymał go i natychmiast zawiadomił wydział śledczy, będący już na tropie Cybulskiego po odnalezieniu Kołodzieja.

Na miejsce, gdzie mieści się kiosk, przybył wiceprok. dr. Mostowski, sędzia śledczy dr. Kapuściński, kierownik wydziału śledczego, komisarz Mika i prowadzący dochodzenia asp. Barduzel. Przeprowadzono rewizję w kiosku, w którym pod krzesłem, na którym siedział przez ostatnie trzy dni Cybulski, sprzedając papierosy i cukierki, znaleziono skórzaną teczkę, w niej odrąbaną głowę kobiety w straszliwy sposób zmasakrowaną ze spalonymi częściami włosów. W pudełku z cukierkami, leżącym na półce znaleziono odrąbaną palec. W dalszym ciągu poszukiwań znaleziono w pudełkach od papierosów znaczne zapasy sinku potasowego i innej nieznannej trucizny. Oczywiście miejsca aresztowano Cybulskiego i Kołodzieja, tego ostatniego pod zarzutem udzielenia pomocy Cybulskiemu w wynoszeniu zwłok. Cybulski po oznajmieniu mu, że dochodzenia przeciwko niemu toczą się w trybie doraźnym, przyznał się do poćwiartowania zwłok, zaprzeczając jednak, aby swą towarzyszkę, przysgodnie spotkaną na ulicy prostytutkę zamordował. Podał on, że po wypiciu wódki towarzyszką jego zażyła truciznę i zakończyła życie. Obawiając się konsekwencji, pokrajał trupa i partjami wynosił na peryferje.

Sprowadzony do wydziału śledczego Cybulski w ciągu nocy zmienił zeznanie i przyznał się do zbrodni otrucia swej ofiary. Motywów podać nie umie. Broni się, że był

zamroczony alkoholem. Nazwiska denatki nie znał, wie, że pochodziła z Warszawy. Jak się okazało, nieszczęśliwa ofiara mieszkała we Lwowie na Zamarstynowie i nazywała się Emilja Szew, liczyła lat blisko 40 i była pełnej tuszy. Sprowadzone w ciągu nocy do wydziału śledczego wszystkie koryntjanki z Placu Halickiego i Placu Bernardyńskiego zgodnie oświadczyły, że brak wśród nich jest „Mili”. W ten sposób zdołano ustalić nazwisko zamordowanej. W nocy z soboty na niedzielę Cybulski spotkał ofiarę na Placu Halickim i zaprosił ją do kiosku, w którym co noc odbywały się podobne seanse. Po zgładzeniu i po poćwiartowaniu zwłok przy pomocy piłki, siekiery i noża Cybulski płaszczy wręczył Kołodziejowi, a części gardereby spalił. Został tylko zielony jej sweter. Zarówno jej sweter, jak i granatowy płaszczy rozpoznała gospodyni Szewówny — Genowefa Borowa, tembardziej, że płaszczy ten pożyczyla denatce. Po przyznaniu się potwornego zbrodniarza do otrucia ofiary i posiekania zwłok, odstawiono go do dyspozycji władz sądowych.

Pierwotne swe wyjaśnienia, iż otrul swą ofiarę w sobotę przy pomocy sinku potasu, a w niedzielę zaczął

ćwiartować trupa, Cybulski później zmienił i zeznał, że truciznę dostał od pewnego woźnego Uniwersytetu i chciał się przekonać jak ona działa; gdy atoli kobieta padła martwa na podłogę, postanowił czyn swój ukryć w ten sposób, że porzucił trupa na pożarcie psom i wronom.

Gdy w niedzielę popołudniu przybył do niego Kołodziej, poprosił go, aby mu pomógł wynieść z kiosku zepsute mięso końskie, które u siebie posiadał. Obaj więc zawinawszy części zwłok w paczki, rozrzučili je w miejscach, o których wyżej mowa.

Policja aresztowała już także ubiegłej środy owego woźnego uniwersytetu nazwiskiem Franciszek Obacz, który podał, że wręczył Cybulskiemu przed dwoma tygodniami stoik trucizny, gdyż Cybulski mu powiedział, że chce nią zgładzić chorego psa. Dochodzenia wykażą, skąd Franciszek Obacz otrzymał sinek potasu.

Oprócz badań medyczno-sądowych zwłok, poddane zostaną chemicznej analizie wnętrzności Emilji Szewówny, celem stwierdzenia rodzaju trucizny. F. S.

-- Ostatnie wiadomości. --

SPRAWA POR. JEZIERSKIEGO.

Warszawa (od naszego korespondenta).

W przyspieszonym tempie toczy się śledztwo w sprawie dramatu z za kulis „Teatru Nowego”. Wychodzą na jaw nowe szczegóły, wyjaśniające to dramat.

Norbert Jezierski usiłował zabić aktora Antoniego Różyckiego. Nie neguje tego i sam stwierdza, że przyszedł do teatru z gotowym zamiarem, powziętym na skutek doniesień telefonicznych o stosunkach, jakie miały łączyć żonę jego z partnerem scenicznym.

W ciągu ubiegłego tygodnia sędzia śledczy przesłuchał wszystkich świadków zajścia, ofiarę napadu Różyckiego i samą p. Jezierską. Ponieważ sam fakt usiłowania zabójstwa jest bezsporny, przeto śledztwo poszło w kierunku całkowitego wyświelenia pobudek, jakimi kierował się sprawca. Chodziło o ustalenie, czy powody, jakie podawał były prawdziwe i jakie było jego nastawienie psychiczne?

Norbert Jezierski był oficerem lotnictwa i — jak wielu pilotów cechowała go nadwrażliwość nerwowa. Stan nerwów był podobno nawet przyczyną przeniesienia Jezierskiego w stan spoczynku. Wówczas zabrał się do pi-



Od prawej: Por. Norbert Jezierski udziela w teatrze bydgoskim wyjaśnień pp. Koreckiemu i Wilamowskiemu na temat swej sztuki „Wynalazcy”.

sania sztuk teatralnych. Pierwsza sztuka nosiła tytuł „Wynalazca” i grana była w Bydgoszczy. Druga sztuka Jezierskiego, „Panienka w masce” dotychczas nie była wystawiona. Jezierski niewątpliwie zdradzał talent, lecz dziwaczny w koncepcji i to właśnie zdradzało pewne nienormalne jego nastawienie psychiczne.

Jak już podawaliśmy w poprzednim repertożu, Jezierski żył ostatnio źle z żoną i oboje dążyli do separacji. Czy jednak w dalszym ciągu kochał żonę — trudno ustalić, na ten temat nie udziela on żadnych wyjaśnień. Nie wiadomo nawet, czy był zazdrosny. Okazuje się bowiem, że Jezierski znał dobrze osobę, która informowała go przez telefon i sam niejednokrotnie umawiał się z informatorką kiedy i na jaki telefon ma dzwonić. Utrzymuje on, że informacje, jakie otrzymywał, odpowiadały prawdzie, a w każdym razie nie były bezpodstawne. Nie twierdzi jednak, aby targała nim zazdrość: mówi krótko:

— Ona była jeszcze moją żoną. Wystąpiłem w obrobie honoru!...

Na Pawiaku.

Jezierski osadzony został na „Pawiaku” na oddziale IV w celi nr. 65. Wraz z nim przesiaduje tam adwokat Parzyński.

W przeciwstawieniu do zachowania Jezierskiego, który żony swojej nie chce widzieć i nie o niej słyszeć, postępuje ona sama. Niemal codziennie przychodzi ona do „Pawiaka”, troszcząc się o los męża i starając się dostarczyć mu paczki z żywnością. Jezierski jednak nie przyjmuje ich.

W zestawieniu faktów zrodziło się podejrzenie, że krytycznego wieczoru Jezierski przybył do teatru z zamiarem zabójstwa żony. W tym celu dopytywał się nawet, gdzie się ona znajduje i kiedy z garderoby wychodzi. Zamiar ten następnie zmienił na chęć zabójstwa Różyckiego, lub też może planował zabójstwo obojga.

Jezierski nie ma jeszcze obrońcy i dotychczas nie starał się o niego. Jednakowoż ze względu na stwierdzony stan podniecenia nerwowego niedosłego zabójcy, prokurator postanowił po zebraniu całokształtu materiału, poddać Jezierskiego badaniom psychiatrycznym.

Aczkolwiek Jezierski, podczas popełnienia swego czynu, nie zdradzał żadnego niepokoju, zachowując pozor nie całkowity spokój, to jednak należy podkreślić pewien moment bardzo charakterystyczny, który nawet uniemożliwił Jezierskiemu dokonanie zabójstwa. Chcąc strzelić do Różyckiego, zarepetował on broń, lecz nie mógł oddać strzału, gdyż kula stanęła w poprzek. Otóż, jak się okazuje stało się to dlatego, że Jezierskiemu silnie drżały ręce, co uniemożliwiło mu należyte oprowadzanie broni. Temu momentowi zawdzięczać należy, że dramat zakończył się bezkrwawo; ale to silne drżenie rąk wskazuje i na to, że Jezierski nie działał z całkowitym spokojem.

Jak już donosiliśmy, Jezierski jest obecnie oskarżony o usiłowane zabójstwo. Zakończenie śledztwa nastąpi pod koniec bieżącego miesiąca, poczem sporządzony zostanie akt oskarżenia. Zależnie od orzeczenia biegłych, zakwalifikuje prokurator czyn oskarżonego — ewentualnie jako przestępstwo popełnione pod wpływem afektu. Pm.

SIWIEC STRACONY!

W numerze 5 z b. r. podaliśmy szczegółowy opis sensacyjnego zdemaskowania i zlikwidowania bandy Siwca, która na terenie Rybnika w ciągu dwóch lat wykonywała rozbójnicze rzemiosło. Ostatni jej występ rabunkowy zakończył się tragicznym wypadkiem zabójstwa, ścigającego bandę posterunkowego Fojcika. Sprawa Franciszka Siwca, zabójcy ś. p. Fojcika była przedmiotem sądu doraźnego w dniu 5-go b. m. Rozprawie przewodniczył sso. Stodolak, oskarżenie popierał prokurator dr. Adam Nowolny. Po przesłuchaniu 17-tu świadków oraz trzech le-



Franciszek Siwiec podczas odczytywania wyroku śmierci.

karzy psychiatrów, którzy w całej osnowie potwierdzili winę oskarżonego i pełną jego odpowiedzialność za popełnioną zbrodnię, zapadł w poniedziałek wyrok skazujący Franciszka Siwca na karę śmierci przez powieszenie. P. Prezydent Rzeczypospolitej nie skorzystał z prawa łaski wobec czego wyrok wykonano we wtorek 6-go b. m. rano.

W najbliższym czasie staną przed sądem okręgowym w trybie postępowania zwyczajnego pozostali członkowie bandy Siwca, oskarżeni o dokonanie kilkunastu kradzieży i paserstwo.

Paryż
(od naszego koresp.).

Jedyny to w swoim rodzaju krajobraz. Pustkowie północnego morza, rozścielające swoje ołowiane głębie w dal nie do ogarnięcia wzrokiem. Ciężkie, rozległe ławice piachów obrośniętych szczecinowatą, twardą, wyschlą trawą i krzewami opuszczają się aż do brzegu. Tu i ówdzie olbrzymie kamienie starczym mchem porośłe leżą bez ładu, jakby swawolną ręką bawiącego się olbrzyma rzucone. Dziwny to kraj, w którym niebo, jakby całym ciężarem napierało na ziemię, a ziemia płaszczyła się i zbierała w sobie siły do oporu, ponura i opuszczona.

Nad kraj, na dużym kamieniu oparty rozpostarł ramiona krzyż. Czarny, żłarty bólem tych, którzy tu krwawe łzy wyplakali, wytrawiony słonym morskim wiatrem, obity wściekłymi porywami północnego wichru. Zniszczony a jednak potężny. Wysoko podniósł ramiona. On jeden wnosi w ten krajobraz beznadziejnego smutku ukojenie. Na cokole widnieją wyrzeźbione nazwiska tych, którzy, szukając tu ukojenia, chcieli tym wszystkim, co przyjdą, zostawić widomy znak, że znaleźli to, co szukali. Od wielu innych odróżnia się świeżością podpis „Rachel-George, 19 octobre 1933”. I pod tem jeszcze świeższa data „19 janvier 1934”. Październik i grudzień, daty rozstania...

Syty wrażeń wracam do miasteczka Berck-Plage. Miejscowość ta z wielu względów zasługuje na uwagę; położona jest nad brzegiem morza, które w tem miejscu nie przedstawia specjalnie nęcących perspektyw do plażowania i wesołej zabawy. Ale też Berck-Plage nie jest miejscowością dla zdrowych i chcących się bawić. Jest raczej przytułkiem dla chorych i ozdrowieńców, którym surowy słony zapach morskiego powietrza przywraca siły. Dowiaduję się tu na miejscu dziwnej historii o małej Rachel Mery, smutnej bohaterce, której imię uwieczniono na cokole krzyża wraz z imieniem jej przyjaciela. Zainteresowałem się nią. W krótkim czasie mam materiał dostarczony, aby urobić sobie sąd o tej, jakże nieszczęśliwej dziewczynie.

Dziewczyna o słabem sercu i woli.

Nie było miłszej, nie było lepszej, nie było bardziej uroczej dziewczyny od niej. Wszyscy moi informatorzy są zgodni co do tego. Ale nie było też dziwniejszej i bardziej olśniewającej. Rachel Mery wlokła ze sobą ciężkie brzemie wychowania, które spaczyło jej młodą duszę i doprowadziło do tego, że w wieku 16-tu lat stanęła przed trybunałem przysięgłych oskarżona o zabójstwo swojego kochanka. A było to tak:

Na prawo u góry: Mery była wierną towarzyszką i pielęgniarzką chorego przyjaciela w Berck. — Poniżej: Rachel Mery trzyma za uzdę ulubionego towarzysza swoich ostatnich wycieczek z Jerzym Veron w Berck.



Rachel stale zamieszkała w Paryżu była dziewczynką, którą rodzice prędko dopuścili do wszystkich tajemnic życia. Książki, te okropne książki paryskiej ulicy, podniecające wyobraźnię i kina bulwarowe, w których młodzież na filmach dla młodzieży niedozwolonych wykształca swoje doświadczenie życiowe i deprawuje charakter — oto nauczyciele, którzy z małej Rachel uczynili istotę bez własnego oblicza, odgrywając rolę wielkich heroin podpatrzonych na filmie i w książce. a nieprzygotowanych zupełnie do odegrania swojej własnej roli w życiu. Rachel ukończyła lat 16. Miejsce fotografii Valentina otoczonej stale czarną krepu, zajęła fotografia Fernanda Harteura, młodego pełnego życia chłopca, który popełnił jeden błąd: kochał, a był za słaby, aby Rachel opanować i skierować na właściwą drogę. Zaczęły się dni pełne udręki, tylko rzadko przeplatane chwilami szczęścia. Coraz częstsze różnice zdań i kłótnie, w których Heurteur był zawsze zwyciężony, sprawiły, że spaczona, egzaltowana wyobraźnia Rachel zaczęła szukać zakończenia swojego stosunku z Fernandem w jednym z licznych scenariuszy filmowych. Ta młoda dziewczyna bez żadnego dobrego wpływu i nauki uznała, że jest tylko jedno wyjście „z okropnej sytuacji”. Dłużej nie mogła już żyć z „brutalem”. Przemyślała dokładnie poszczególne momenty swojego czynu. Stało się to, gdy auto w pełnym pędzie przejeżdżało przez Plac Opery. Fernand Heurteur zginął, a troskliwe ojcowskie serca przysięgłych francuskich zasądziły ją na dwa lata więzienia. Niedługo jednak przebywała w Saint Lazare (paryskie więzienie dla kobiet) resztę kary przeżyła w szpitalu.

W Berck.

Po upływie dwóch lat wciąż jeszcze chora została wysłana do Berck, miejscowości, gdzie widok zdrowego obcego przybysza wywołuje powszechne zdumienie i zwraca uwagę tych wszystkich, którzy na wózkach więzieni przybyli tu po zdrowie lub ulgę w cierpieniach. Mijały długie jednostajne dni. Zbliżało się lato, maj 1933 roku, leżak Rachel ustawiono obok wózka młodego człowieka nazwiskiem Jerzy Verron. Młodość nawet chorych ludzi ma swoje prawa. George Verron o wrodzonej naturze poety i marzyciela spędzał ranki na zapisywaniu drobnym pismem kart w grubym notatniku. Podobało się to skołataney, ale wciąż jeszcze pełnej niezdrowej fantazji Rachel. I ona zaczęła pisać. Aż pewnego dnia Rachel podała kartkę sąsiadowi:

— Ten list jest dla pana.
Jerzy Verron, jakby tylko czekając na upoważnienie z jej strony, momentalnie wręczył jej kilka kartek.
— Oto poemat ułożony dla pani.
Pierwsze lody pękły.

(Dokończenie na str. 13-lej)

Na lewo: Mery na ławie oskarżonych w procesie o zabójstwo swojego pierwszego przyjaciela Fernanda Heurteur.



Mery na plaży w Berck ze swoim ulubionym wilczurem.

Poniżej: Tajemniczy Monsieur Alexandre pijak w Inowrocławiu tylko szampa...
Na prawo: Merjan Ligocki, zarządca kabaretu „Mascotte” w Warszawie, który zginał tragiczną śmiercią podczas nocnej awantury w lokalu.

Afera Aleksandra Stawiskiego odbiła się głośnie echem w całej prasie polskiej, która poza wyczerpującymi artykułami przyniosła również obszerny materiał ilustracyjny. Prawdopodobnie wskutek tego, niby grzyby po deszczu, zaczęły się w kilku ośrodkach kraju pojawiać mgliste koncepcje pobytu głośnego aferzysty w Polsce. Różni ludzie na podstawie subiektywnej oceny podobieństwa publikowanych fotografii Stawiskiego i jakiegoś tajemniczego osobnika, niejakiego Monsieur Alexandre, tudzież na podstawie analogicznych cech charakteru tych dwojga ludzi, wytworzyli mniej lub więcej słuszne mniemanie, że „prawdziwy Stawiski” rzeczywiście mieszkał i „działał” przez pewien czas na terenie naszego kraju, a mianowicie w Inowrocławiu, gdzie prowadził rozliczne „interesy” i w Warszawie, gdzie założył kabaret „Mascotte”. Informacje naszego korespondenta z Inowrocławia brzmią tak sensacyjnie, że postanowiliśmy zapoznać z nimi naszych Czytelników, pozostawiając ich ocenie trafność spostrzeżeń autora reportażu.

Szczegóły są rewelacyjne, przypuszczamy więc, że o ile Stawiski rzeczywiście przebywał na terenie Polski, to obudzą one wspomnienia innych osób, które zetknęły się ze słynnym oszustem.

Inowrocław

(od naszego korespondenta).

Opinia całego świata wstrząśnięta została do głębi ujawnieniem skandalicznej afery finansowej we Francji, której główny bohater Aleksander Stawiski wyrósł do rzędu najpopularniejszych osobistości przestępczej obecnej chwili.

Wszystkie pisma zamieszczają jego podobizny, komentując na swój sposób oszukiwanie manipulacje „pieknego Aleksandra”, którego przeciwnicy obecnego ustroju świata pokazują jako żywy przykład nienormalnych stosunków panujących obecnie w sferach przemysłowych i finansowych wszystkich krajów.

Stawiski ma być dowodem, że obecny ustrój parlamentarny „przejadł się z kretelem” i że stary świat wali się w gruzy.

„Czytelników „I. K. C.” i „Tajnego Detektywa” w Inowrocławiu, którzy czytali rewelacje tych pism na temat afery Stawiskiego, uderzyło przede wszystkim jedno: wielkie podobieństwo fotografii oszusta Stawiskiego z osobnikiem, który bawił w Inowrocławiu w roku 1924 i pod przybranym nazwiskiem „Aleksander” znany był kuracjom i miejscowemu obywatelstwu z rozrzuconego trybu życia.

Rewelacyjne odkrycie.

W najpopularniejszej kawiarni „Promień” w Inowrocławiu, przezwanej przez kuracjuszy „słodką dziurką”, siedzieli grono miejscowych obywateli oraz przedstawiciele miejscowej prasy, rozprawiając żywo na temat co dopiero przeczytanych artykułów w „I. K. C.”

Ona nie przynosi prasy nie ciekawego. Jako typowa miejscowość kuracyjna, żyje Inowrocław pełnym życiem tylko w sezonie kuracyjnym. Zima to martwota. Zbyt rewelacyjna była wiadomość, którą wygłosił przed chwilą p. Czabański, by nie napelniła piersi reportera nieklamną radością na myśl pracy, którą trzeba będzie wykonać, by zdobyć wszystkie szczegóły, dotyczące pobytu Stawiskiego w Inowrocławiu.

W całej pełni uzyskałem pierwszy pełną świadomość wartości tej wiadomości i odrzuć „urodził się” we mnie rysowy reporter.

Przy stoliku siedziało ponadto kilku kolegów dziennikarzy, na których wiadomość ta wywarła niemniej głębokie wrażenie.

Począłem stawiać pytania bardzo ostrożne w formie ogólnych niedopowiedzeń. Ostrożność moja o mało mnie nie zgubiła. W pewnym momencie napada p. Czabański na mnie, stwierdzając brak pamięci. Słyszę takie zdanie:

— To przecież pan tańczył często z jego przyjaciółkami w „Domu Kuracyjnym”. Jak można zapominać tak rychło o swoich sympatiach...? (!).

Rozmowa nabiera bardzo szybkiego tempa. Pytania i odpowiedzi formalnie krążą się w powietrzu. Po

Na lewo: Adam Małkowski, były kierownik „Domu Kuracyjnego” w Inowrocławiu, od którego Monsieur Alexandre pożyczał drobne kwoty. — Poniżej na lewo: Zabudowania wytwórni win owocowych Henryka Makowskiego w Kruszwicy. — Poniżej: Pawilon wód mineralnych i kawiarnia „Barana” w Inowrocławiu, x oznacza Małkowskiego, który usługuje gościom.

STAWISKI W INOWROCŁAWIU?

tem imieniem i nazwiskiem: Aleksander Stawiski.

Czy to był ten sam Ligocki, który zginał w tak tragicznych okolicznościach? — pytam dalej.

Tajemnice kabaretu „Mascotte”.

— To on właśnie był ofiarą skandalicznych stosunków w kabarecie „Mascotte”. Gospodarka, jaką prowadził Stawiski w kabarecie nocnym „Mascotte”, była nawskróś rabunkowa; chodziło mu jedynie o zagarnięcie jaknajwiększej sumy pieniędzy, by móc wyjechać z Polski zpowrotem do Francji. Ligocki często pisał mi, że pracuje w warunkach wprost okropnych, gdyż Stawiski zabiera każdy grosz z lokalu i wysyła pieniądze do Francji, gdzie podobno miał kilka spraw sądowych, w których musiał opłacać wielkie koszty. Podczas jednej klótni kelnera z kasjerem w lokalu schwycili obaj za broń, co zauważył Ligocki i wpadł między klótnących się, chcąc ich pogodzić. W tym momencie padły dwa strzały i obie kule ugodziły podobno Ligockiego, który zważył się na ziemię. Odwieziono go do szpitala, gdzie po trzech dniach zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Śledztwo prowadzone w sprawie tajemniczej śmierci Ligockiego, wykryło rzekomo kilka innych skandalicznych szczegółów, ze sposobu prowadzenia lokalu, przez zachłannego na pieniądze Stawiskiego. Lokal mu zamknięto, a Stawiski wyjechał zpowrotem do Francji.

— A co może pan powiedzieć o pohybie Stawiskiego w Inowrocławiu?

— Przypnam się panu Redaktorowi, że mimo całej elegancji i wspaniałości, jaką się otaczał, był to typ nawskróś niesympatyczny. Wszystko co robił, miało na

celu imponowanie otoczeniu. Podczas „Reunionów” w Domu Kuracyjnym zamawiał szampa, najdroższe pałery i potrawy z gestem, jakoby był milionerem. Gdy jednak pozostaliśmy sami i przychodziło do płacenia rachunku, klóć się o każdy grosz. Bardzo często pożyczał odemnie pieniądze.

W tym momencie były kierownik Domu Kuracyjnego, Małkowski, pokazuje mi książki kasowe, gdzie kilkanaście razy figurują drobne kwoty w wysokości 20 i 30 złotych zapisane jako pożyczka dla Stawiskiego. W dalszym ciągu swego opowiadania mówi p. Małkowski, że pieniądze (przeważnie w dolarach) przywoził Stawiskiemu jego szofer z Warszawy. Szofer ten opowiadał Małkowskiemu różne tajemnicze sprawy o swoim panu, który

Aleksander Stawiski.

Powyżej:

Fronton gmachu

przy ul. Sienkiewicza

w Warszawie, gdzie obok teatru

„Morskie Oko” mieścił się kabaret

„Mascotte”.

tem imieniem i nazwiskiem: Aleksander Stawiski.

Czy to był ten sam Ligocki, który zginał w tak tragicznych okolicznościach? — pytam dalej.

Tajemnice kabaretu „Mascotte”.

— To on właśnie był ofiarą skandalicznych stosunków w kabarecie „Mascotte”. Gospodarka, jaką prowadził Stawiski w kabarecie nocnym „Mascotte”, była nawskróś rabunkowa; chodziło mu jedynie o zagarnięcie jaknajwiększej sumy pieniędzy, by móc wyjechać z Polski zpowrotem do Francji. Ligocki często pisał mi, że pracuje w warunkach wprost okropnych, gdyż Stawiski zabiera każdy grosz z lokalu i wysyła pieniądze do Francji, gdzie podobno miał kilka spraw sądowych, w których musiał opłacać wielkie koszty. Podczas jednej klótni kelnera z kasjerem w lokalu schwycili obaj za broń, co zauważył Ligocki i wpadł między klótnących się, chcąc ich pogodzić. W tym momencie padły dwa strzały i obie kule ugodziły podobno Ligockiego, który zważył się na ziemię. Odwieziono go do szpitala, gdzie po trzech dniach zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Śledztwo prowadzone w sprawie tajemniczej śmierci Ligockiego, wykryło rzekomo kilka innych skandalicznych szczegółów, ze sposobu prowadzenia lokalu, przez zachłannego na pieniądze Stawiskiego. Lokal mu zamknięto, a Stawiski wyjechał zpowrotem do Francji.

— A co może pan powiedzieć o pohybie Stawiskiego w Inowrocławiu?

— Przypnam się panu Redaktorowi, że mimo całej elegancji i wspaniałości, jaką się otaczał, był to typ nawskróś niesympatyczny. Wszystko co robił, miało na

celu imponowanie otoczeniu. Podczas „Reunionów” w Domu Kuracyjnym zamawiał szampa, najdroższe pałery i potrawy z gestem, jakoby był milionerem. Gdy jednak pozostaliśmy sami i przychodziło do płacenia rachunku, klóć się o każdy grosz. Bardzo często pożyczał odemnie pieniądze.

W tym momencie były kierownik Domu Kuracyjnego, Małkowski, pokazuje mi książki kasowe, gdzie kilkanaście razy figurują drobne kwoty w wysokości 20 i 30 złotych zapisane jako pożyczka dla Stawiskiego. W dalszym ciągu swego opowiadania mówi p. Małkowski, że pieniądze (przeważnie w dolarach) przywoził Stawiskiemu jego szofer z Warszawy. Szofer ten opowiadał Małkowskiemu różne tajemnicze sprawy o swoim panu, który

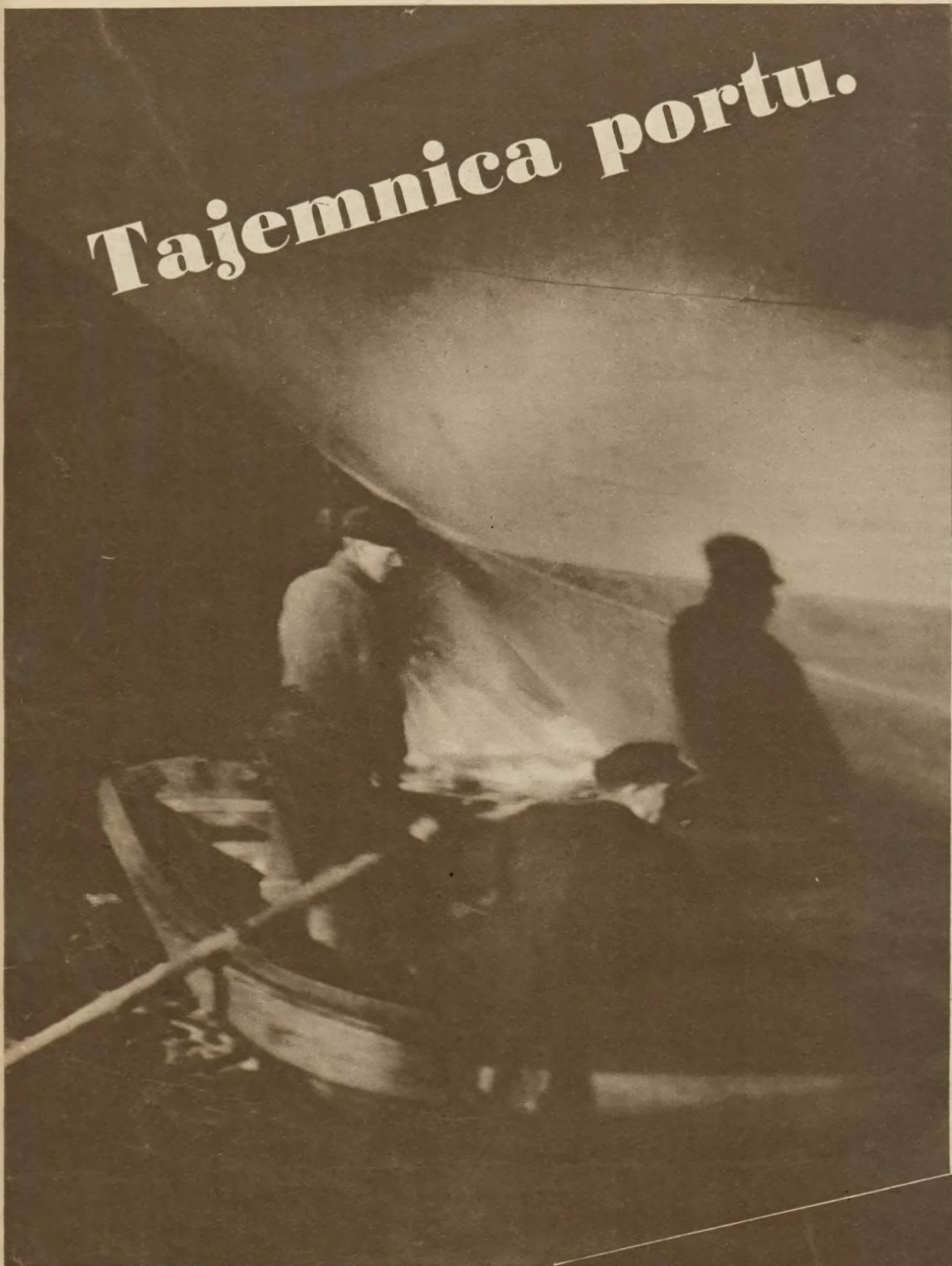
Aleksander Stawiski.

Jak Stawiski „przerabiał” gatunki win?

Bardzo dużo i ciekawego materiału o sprawkach Stawiskiego w Inowrocławiu posiada miejscowy obywatel p. Czabański, rodowity Amerykanin, który zaprzyjaźnił się z Stawiskim, głównie dlatego, że rozmawia bardzo dobrze po angielsku i mógł się swobodnie ze Stawiskim porozumieć. P. Czabański często odwiedzał Stawiskiego również w Warszawie. Mimo tej rzekomej przyjaźni, czuje Czabański również żal do Stawiskiego, gdyż i jego zdolał „nabrać” pomysływy aferzysty. Stawiski zamawiał bowiem większe partje po kilkaset butelek win od Makowskiego z Kruszwicy. Podczas tych transakcji bawił z nim w Kruszwicy również Czabański. Stawiski kupował przeważnie gatunek wina t. zw. „Złota Reneta”, za które płacił 1.50 zł. za butelkę, zastrzegając sobie jednak, że butelki będą bez etykiet. Machinacje Stawiskiego zdemaskował sam właściciel wytwórni win w Kruszwicy Henryk Makowski, który stwierdził, że pomysływy aferzysta sprzedaje jego wino w swoim lokalu „Mascotte” jako oryginalny „Haute Sauterne”.

Dokończenie na str. 19-iej.

Tajemnica portu.



Celnik spostrzegł łódź, kołyszącą się obok statku, a w niej jakichś osobników... — Poniżej w kole: Wywiadowcy przesłuchiwali kapitana „Honga”...

Każde wielkie miasto ma swe tajemnice. Cóż dopiero powiedzieć o wielkich portach, które niby mrowiska przeróżnych ras obległy ujścia wielkich rzek, rozlały się labiryntem ciasnych uliczek na morskich wybrzeżach, objęły mackami polipa rozpusty i wszelakiego grzechu pulsujące życie dalekich szlaków wodnych? I one — wielkie miasta-porty mają swoje groźne tajemnice! O nich pragnę dziś opowiedzieć...

Amsterdam
(od naszego korespondenta).

W marynarskiej knajpie.

Kilka dni temu podążałem z przyjacielem w późnych godzinach wieczornych nad wybrzeże, gdzie niedaleko doków van Eloosa rozsiadła się osławiona tawerna starego Toda. W pobliżu napół rozwalonego domostwa czaiły się jakieś cienie... Promień naszej latarki oświetlił postać dziewczyny, która tonęła formalnie w ramionach rosnącego wilka morską. Ciche zakłęcie i cienie zniknęły za węglem... Potem wśród stłumionego szumu portu rozległy się przeciągłe gwizdy i nawoływania. W pierwszej chwili odnieśliśmy wrażenie, że to przeciw nam, intruzom tamtejszego światka gotuje się jakaś wyprawa. Tymczasem pobieżna obserwacja zbliżających się ku nam postaci upewniła mnie, że to policja celna przeprowadza jedną ze swych częstych obław. Po przedstawieniu paszportów, podążaliśmy w ślad za dwoma wywiadowcami, których zadaniem było zrewidowanie zakamarków tawerny Toda.

W niskiej, ciemnej sali, gdzie z pułapu wisiały dwie zakopcone lampy naftowe, których nikt światła ledwo przenikało przez chmury fajkowego dymu, falował tłum marynarzy i dziewcząt przeróżnych ras. Obsiadł on sznur drewnianych stołów, poprzykrywanych orjentalną pstrokacizną lichych materiałów, przywarł gęstym szpalerem do wysokiego kontuaru, zastawionego szklankami podłego wina i piwa, wdarł się na środek sali węzłem par, podskakujących przy dźwiękach harmonji i fortepianu w takt jakiegoś dzikiego stepa. Staaliśmy niedaleko Toda, którego przenikliwe oczy skierowały się w stronę wywiadowców. Widać znał on swoich „aniołów stróżów”, a że z reguły miał nieczyste sumienie, więc zmieszanie, które zaobserwowaliśmy na jego twarzy, było więcej niż zrozumiałe.

— Ręce do góry! — zabrzmiała komenda wywiadowców, w których rękach błysnęły lufy rewolwerów. — Wszyscy opuszczają lokal, wychodząc po wylegitimowaniu się! — kończyli swój rozkaz przedstawiciele władz celnych.

W pierwszej chwili powstało niebywałe zamieszanie. Tylko ci, którzy zdobyli wcześniej miejsca przy stołach, pozostali razem z towarzyszami; reszta rozpieczęła się po kątach. Wywiadowcy przystąpili do przeglądania papierów. Wówczas stary Tod znikł za kotarą, która zasłaniała przejście z za kontuaru do jego prywatnych „apartamentów”

„Chińczyk warkocz ma...”

Nie uszło to naszej uwagi i po chwili już wchodziliśmy z policją do trzech zatęchłych nor, gdzie porozrzucane w pośpiechu przedmioty świadczyły o czyichś gorączkowych działaniach. W kącie, na żelaznej skrzyni majaczyła olbrzymia klatka. Z jej wnętrza doszedł do naszych uszu skrzęczący głos:

Chińczyk warkocz ma i gołony łeb...

To duża pauga o pstrokatem upierzeniu wyrzucała z zakrzywionego dzioba chrapliwe tony popularnej piosenki. Jakimś cudem pozostał ten egzotyczny ptak przy życiu w warunkach, które nawet w przybliżeniu nie mogły przypominać mu słonecznej jego ojczyzny. W przyległej stancji, na brudnym tapczanie leżała jakaś młoda dziewczyna. To drugie wspomnienie egzotycznych krain... Jej oliwkowa cera świadczyła o południowym pochodzeniu. Duże, czarne oczy zasnęła mgłą gorączki... spieczone wargi poruszały się w rytm niezrozumiałych wyrazów.

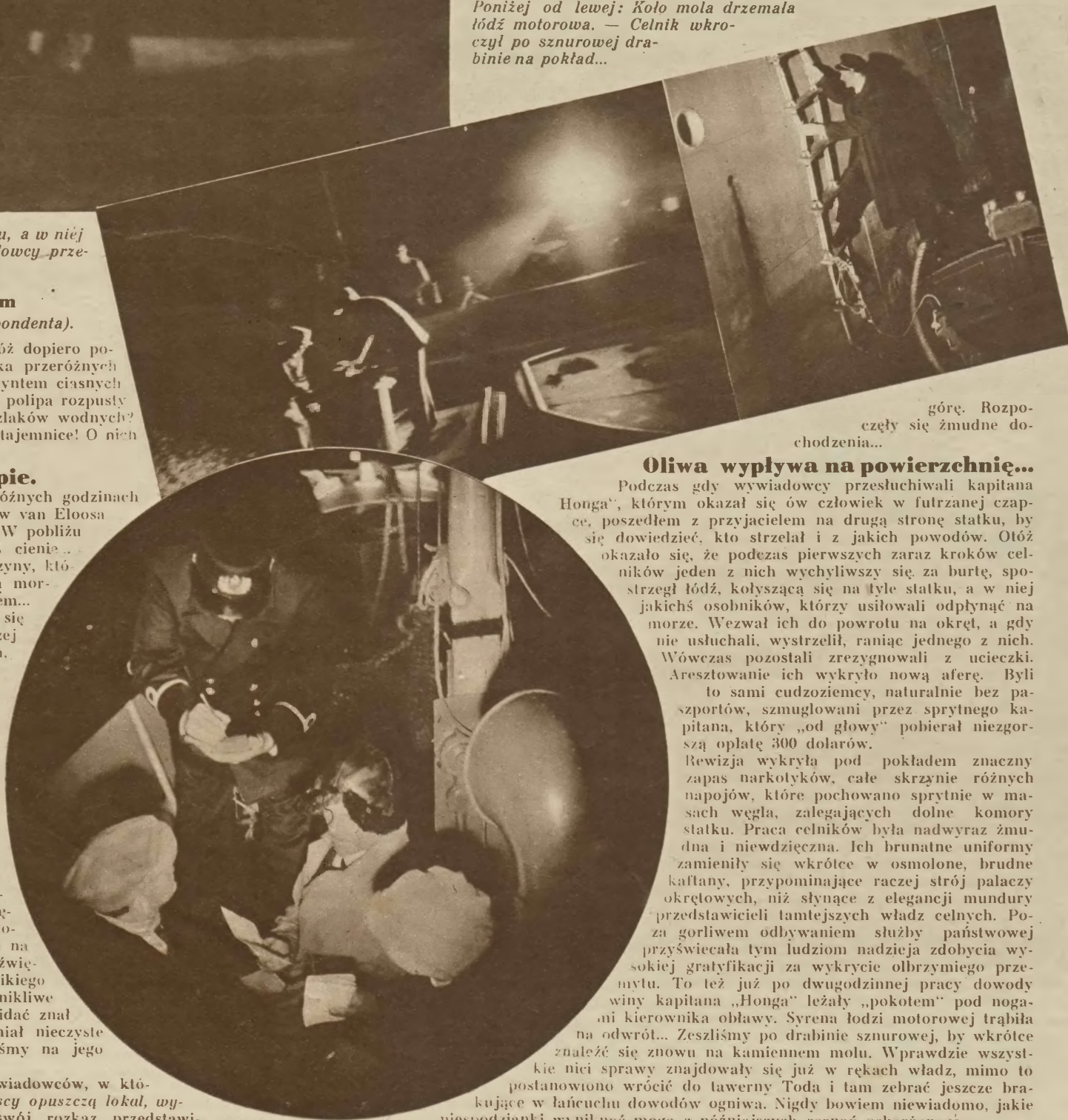
Tu niczego nie mogliśmy się dowiedzieć. Pobieżna tylko rewizja rzeczy Toda wydobyła na światło niezwykle obciążający materiał. — Agenci celni z lubością przerzucali z rąk do rąk fiolki z kokainą i morfiną, pudzera, napełnione opjumi, nieostemplowane flaszki z arakiem, rumem itd. Widocznym było, że Tod nie miał już czasu ukryć w bezpieczniejszym miejscu wszystkich tych „specjałów”, które zapewne przyniesiono tego samego wieczoru do jego legowiska.

Przeciągły gwizdek oznajmiał od strony podwórza, że ktoś wpadł w objęcia rozstawionych naokoło tawerny wywiadowców. Po chwili sprowadzono przed oblicze prowadzącego obławę oficera starego Toda i małego, zgiętego współ Chińczyka, którego postać cała dygotała pod wpływem groźnych pytań celników. Jak się po dłuższych indagacjach okazało, należał on do załogi małego statku, który poprzedniego dnia przybił do portu w Amsterdamie. Nie ulegało więc wątpliwości, że zakazany towar znalazł u kapitana tego okrętu dobrotliwego opiekuna.

Nie pozostawało nic innego, jak pośpiesznie udać się na pokład statku przemytników. Część wywiadowców zaopiekowała się aresztowanym Todem, reszta podążyła razem z Chińczykiem na molo, gdzie drzemiała łódź motorowa celników.

Po chwili podpływaliśmy już ze zgaszonymi reflektorami do burty stojącego na kotwicy okrętu, na którego rufie widniał duży napis: *Hong*. Na pokładzie panowała bezwzględna cisza. Okienka kajut tonęły w mroku. Tylko w jednym z nich migotało żółtawe światelko. Po trzeszczących niemilosierdzie schodach zeszliśmy na dół, kierując nasze kroki w stronę oświetlonej kajuty. Tymczasem celnicy wkroczyli po sznurowej drabinie na pokład i rozpoczęli swe poszukiwania. Wtem padł strzał... Na jego odgłos otworzyły się raptownie drzwi tajemniczej kajuty i w ich obramieniu stanął rosły mężczyzna, który naciągał na głowę dużą futrzaną czapę. Wyprowadzono go na

Poniżej od lewej: Koło mola drzemiała łódź motorowa. — Celnik wkroczył po sznurowej drabinie na pokład...



górze. Rozpoczęły się żmudne dochodzenia...

Oliwa wypływa na powierzchnię...

Podczas gdy wywiadowcy przesłuchiwali kapitana Honga, którym okazał się ów człowiek w futrzanej czapce, poszedłem z przyjacielem na drugą stronę statku, by się dowiedzieć, kto strzelał i z jakich powodów. Otóż okazało się, że podczas pierwszych zaraz kroków celników jeden z nich wychyliwszy się za burzę, spostrzegł łódź, kołyszącą się na tyle statku, a w niej jakichś osobników, którzy usiłowali odpłynąć na morze. Wezwał ich do powrotu na okręt, a gdy nie usłuchali, wystrzelił, raniąc jednego z nich. Wówczas pozostali zrezygnowali z ucieczki. Aresztowanie ich wykryło nową aferę. Byli to sami cudzoziemcy, naturalnie bez paszportów, szmuglowani przez sprytnego kapitana, który „od głowy” pobierał niezgorszą opłatę 300 dolarów.

Rewizja wykryła pod pokładem znaczny zapas narkotyków, całe skrzynie różnych napojów, które pochowano sprytnie w masach węgla, zalegających dolne komory statku. Praca celników była nadwyrasem żmudna i niewdzięczna. Ich brudne uniformy zamieniły się wkrótce w osmolone, brudne kaftany, przypominające raczej strój palaczy okrętowych, niż słynące z elegancji mundury przedstawicieli tamtejszych władz celnych. Poza gorliwym odbywaniem służby państwowej przyświecała tym ludziom nadzieja zdobycia wysokiej gratyfikacji za wykrycie olbrzymiego przemytu. To też już po dwugodzinnej pracy dowody winy kapitana „Honga” leżały „pokotem” pod nogami kierownika obławy. Syrena łodzi motorowej trąbiła na odwrót... Zeszliśmy po drabinie sznurowej, by wkrótce znaleźć się znowu na kamiennym molo. Wprawdzie wszystkie nici sprawy znajdowały się już w rękach władz, mimo to postanowiono wrócić do tawerny Toda i tam zebrać jeszcze brakujące w łańcuchu dowodów ogniwa. Nigdy bowiem niewiadomo, jakie niespodzianki wyniknąć mogą z późniejszych zeznań oskarżonego.

John Green.

I podczas gdy policja amerykańska rewidowała gmach, oraz oddawała salwę za salwą w stronę niknących we mgle samolotów — Sznapski stał na ulicy, czytając znaleziony papier, na którym widniały te słowa: „Z rozmów strażników wnioskujemy, że polecimy na upiorach Atlantyku na Wschód. Ratuj! Siła”.

Sznapski skierował bezsilną pięść w stronę gdzie przed chwilą zniknęły aeroplany i zamamrotał coś niezrozumiale, jako, że był niepoprawnym gadułą.

A przekłete statki pędziły w szarą dal jak Zabłocki na mydle.

IX.

Słońce zachodziło właśnie w głowę, jakby to umieścić się najwygodniej za widnokretem w morzu, jak kura na grzędzie, gdy zaczęło zanosić się na to, że wkrótce zapadnie zmrok. Srebrnobrody marabut wszedł z powagą na wieżyczkę smukłego muezina i zwróciwszy się w stronę Mokki, padł na twarz, wygłaszając przytem owe sakramentalne „Inch Allah! Makbeth Oaza! Inch Allah!” W odpowiedzi na to wierni, zgromadzeni na rynku zajęci intensywnym oszukiwaniem Yankesów oraz zębatach po końsku Inglezów padli plackiem na brodę proroka, odmawiając przytem labessy i dromedary, czyli wieczorne modlitwy. O tym samym czasie białe odaliski, otulone w przeźroczyste babusze i zagryzające w hakach pod rozłożystymi haikami pieczone riksze i kuche sampany, przeglądały się z ciekawością dzieci Wschodu w Bambusie, świętej rzeki, która płynie od Pantatyku aż do krainy Wschodzącego Smoka. A pilnujące odalisek oswojone żółtolice kulisy, jedzące z ręki, wersety czyli pajaki smażone w oleju rycynowym — prawily sobie nawzajem na kairuańskich dywanach plotki o przybyciu z nad oceanu ładunku białych

dla siebie samolot i jedną białą rumiję, która jako Zimna ochłodzi trochę — panujące tu nad brzegiem Guadalquiviru upały. A zatem hindu-Kusz, niewierni!

W oazie zaroilo się od okrzyków z przerażenia. Sznapski zaś z radości kopnął towarzysza w plecy i zawołał:

— Nareszcie znaleźliśmy znowu Siłę! Teraz musimy ją napewno uwolnić! Pisz Bożydarcu list do jej narzeczonego do Makagigi. Tu napewno będzie gdzieś w pobliżu skrzynka na listy.

Tymczasem z oazy wypływała w kierunku dżungli gromada białych niewolnic z Rosą Mentoną, przebraną znowu za Dintojrę — i Georgem O'Sendach na czele. Tyle bowiem zostało z potężnej niegdyś bandy. Gdy zagłębili się w dżunglę, padł nagle na wszystkich blady strach.

— Zdaje mi się, że stado bawołów się zbliża! — rzekł, szczękając zębami O'Sandach, rozpalając niemrawo ognisko.

Istotnie po chwili dał się słyszeć tupot i huk, poczem runęło na nich stado dzikich bawołów. Dziewczyny powskakiwały na drzewa, a Rosie Mentonie, która nie zdążyła dość szybko wleźć na daktyla, jeden bawół oberwał nogę; za stadem bawołów pędziło na nich stado słoni, przy czem jeden słon oberwał Rosie Mentonie rękę, a idący na czele nowego stada nosorożec, wyrwał jej język, czem też przypieczętował — groźną handlowkę żywym towarem na śmierć. O'Sandach, który nie przeczuwał, że grozi mu coś jeszcze okropniejszego, pomimo śmierci szefa kontynuował dalej podróż, nie chcąc stracić niewolnic, za które mógł jeszcze w Argentynie uzyskać dobrą cenę. Po godzinie marszu rozłożyli się znowu pod rozłożystym tuaregiem, który miał ich osłaniać swymi szerokimi gałęziami przed niespodziankami. George O'Sandach kazał dziewczynom przyrządzić kolację z pieczonego burnusu.

groząc im w przeciwnym razie bykowcem i położył się spać. W nocy zdawało mu się, że po całym ciecie łązi mu tysiąc mrówek. Gdy nad ranem otworzył oczy, spostrzegł z przerażeniem, że niewolnice uciekły, a on sam ułożył się był do snu na mrowisku, przyczem mrówki objadły go doszczętnie z ciała, tak, że pozostał z niego tylko szkielet. Zrozpaczony tym stanem rzeczy zamknął oczy i przeniósł się do wieczności. Tak zginął krwawy bandyta George O'Sandach vel Rodryg Pomału.

Tymczasem niewolnice spotkały w swojej ucieczce wieś ludożerców. Mając do wyboru być zjedzonymi, albo wyjść zamarzniętymi z ludożerców, zdecydowały się na to drugie i zostały ludożerczyniami jak jeden mąż.

Detektyw Sznapski zaś w międzyczasie pracował. Napadł naprzód na szeika z ukrycia i związał go jak baranka. Następnie przebrał się własnoręcznie za władcę wiernych. — Siła, która nadziwiła się nie mogła sprytowi detektywa, pomagała mu z całych sił. Na trzeci dzień ich pobytu w oazie Sznapski postanowił uciekać. Przebrał w tym celu Bożydara za swego pacholka i kazawszy czeredzie arabów przygotować wielbłądy, wsiadł na nie wraz z uwolnioną już narzeczoną z Makagigi, oraz swym nieodłącznym Wykalaczka, poczem żegnany przez swych wiernych poddanych, nie przeczuwających, że żegnają gajura, wyruszył do Casablanki, gdzie oczekiwał ich zwabiony listem Sznapskiego — narzeczoną Siłę.

Tak skończyła się przygoda narzeczonej z Makagigi, która zrezygnowała wreszcie z podróży na Borneo do ojca wuja bratanicy szwagra ciotki, gdyż już „nie paliła się do świata” — jak to określił detektyw Sznapski z humorem, jaki go nie opuszczał w najkrytyczniejszych momentach życia.

KONIEC.

NARZECZONA Z MAKAGIGI.

PARODJA POWIEŚCI A. MARCZYŃSKIEGO.

NAPISAŁ PAN TEON.

niewolnic pod eskortą bandytów amerykańskich. Skośne oczy tych dalaj-lamów kierowały się pożądliwie w stronę dzielnicy europejskiej, International-Settlementu, gdzie wśród białych tamaryszków, służących za mieszkanie bogatym kupcom chińskim i ich Surom — kryły się wspaniałe, kilkunastopiętrowe hamady europejczyków, otoczone bujną roślinnością podzwrotnicową, dżungla, złożoną z tysiącletnich nababów, aregów i serir. W dżunglach tych, przez które okrety pustyni nawet z rozpiętymi żaglami z trudem się przedzierały — nie należały do rzadkości spotkania z drapieżnymi dżonkami, tygrysami i wampirami, otulonymi w węże boa i strusie pióra. A roślinność! Najwspanialsza pod słońcem roślinność, jakiej nie wyhoduje pod szklanym dachem żadna „kulturalna” europejska oranżada — zalewała kraj od wschodu do zachodu, wylaźla bokami i roila się poprostu od bładów czyli małych zwierzątek egipskich.

Słońce, jak powiedzieliśmy, dotykało już swymi seledynowymi promieniami górnego palaku Gaurisankaru, opartego o Atlas, gdy niezmordowany poszukiwacz niewolnic z Makagigi — detektyw Sznapski, przekomarzając się ciągle ze swoim mistrzem Wykalaczka, postawił stopy na gorącej ziemi afrykańskiej. Taksówka, którą poganiał skośnooki arab, odwiozła ich do najskromniejszego w mieście hotelu. Od tego szofera dowiedzieli się metadą dedukcji, że z Ameryki przyleciał niedawno — jeden samolot z bandytami i niewolnicami. Resztę zaś powietrznych statków pożarły na oceanie upiory Atlantyku, czyli olbrzymie latające niedźwiedzie polarne. Pozostali znów bandyci wraz z niewolnicami mają się mieścić w małej oazie saharyjskiej niedaleko Sardanapalu.

Na tę wiadomość Sznapski natychmiast wynajął przewodnika, niejakiego Ali-ben-Kili-Mandżaro i ruszył z Wykalaczka, na grzbiecie wielbłąda w odmetę Sacharyny.

Po godzinnej podróży nagle stanęli wśród najgłębszej nocy jak wryci.

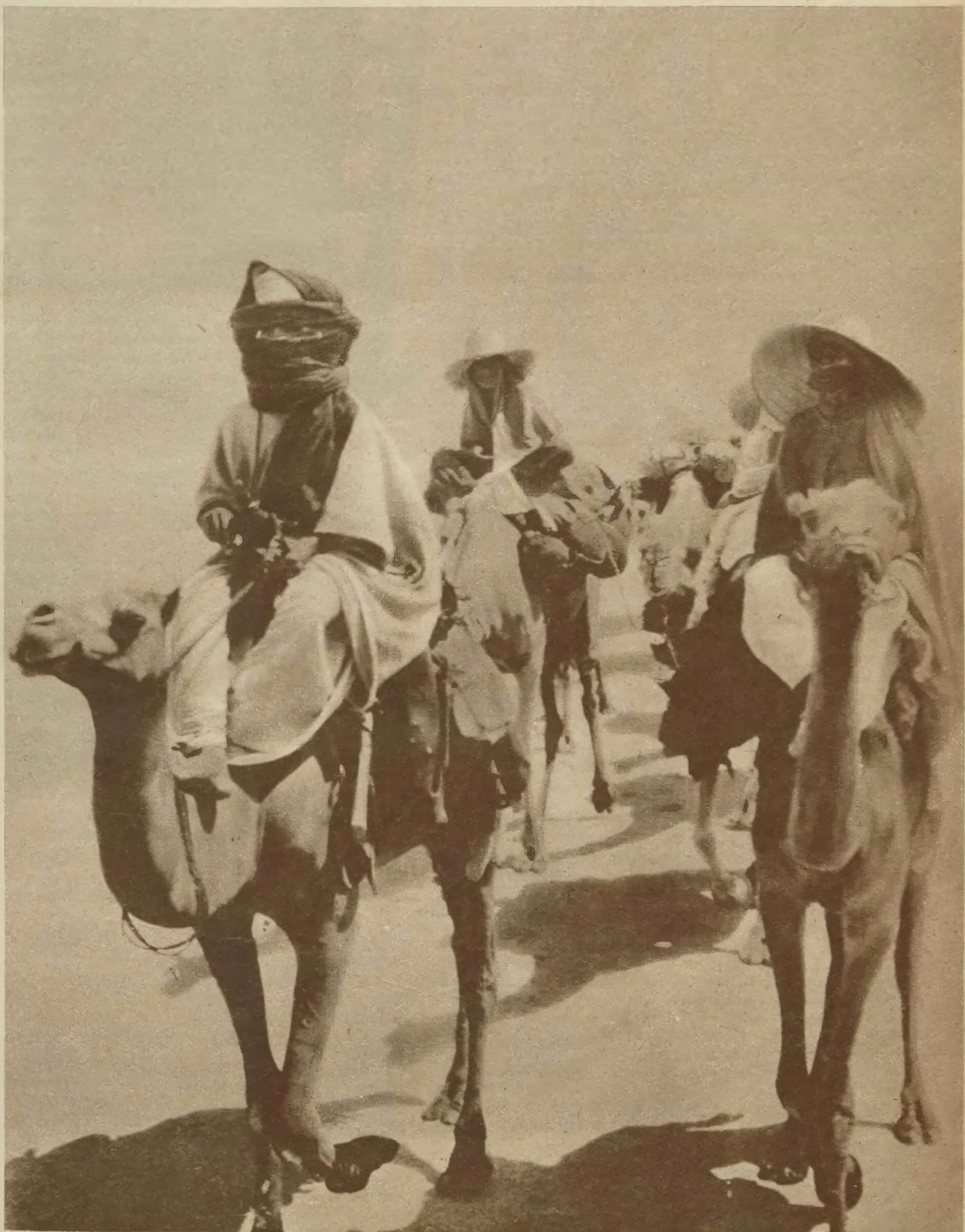
— Lew! — szepnął przewodnik Ali-ben-Kili-Mandżaro i smagnawszy wielbłądy własnym warokocem, ruszył z kopyta w drogę powrotną. Detektywi zaś z przestrachu pospadali na ziemię.

— Niema żadnego lwa! — oświadczył Sznapski z humorem. — To tylko przewodnik chciał nas okraść, no i udało mu się niestety. Jesteśmy w głębi Afryki jak tureccy święci!

W tej chwili dał się słyszeć ryk.

Nieustraszone Sznapski postąpił w ciemnościach parę kroków naprzód i znalazł się nagle przed parkanem jakiejś oazy. Z za parkanu słychać było ryk i gniewne słowa, wydawane przez jakiegoś chrapliwego tuziemca:

— Ja, szeik potężny, pobożny sługa proroka, mameluk Hadzi-ben-Homri-baobab, powiadam wam po trzykroć, o niewierni, że nie mogę i nie chcę was z całą czeredą niewolnic dłużej gościć. wobec czego poszukajcie sobie innego noclegu. Jako zapłatę za udzieloną gościnę zatrzymuję





Od góry: Agent wydziału śledczego bada w mieszkaniu Kusiowej nocującego tam żebraka. Jak widać Kusiowa skrzętnie wykorzystuje miejsce — ustawiając łóżko obok łóżka. — Oślawione podwórze Barlebena siedlisko mętów poznańskich.

Poznań

(od naszego sprawozdawcy).

Cicha, bezgwiezdna noc rozpościera się zwolna nad miastem. Białe płatki śniegu układają na placach i ulicach miękką, puszystą kołbę. Poznań gotuje się do snu — albo do zabawy. Jest to przecież przedostatnia sobota Karnawału, który niebawem ustąpi miejsca Popielcowi. Wszystkie sale Poznania zostały najęte na bale i zabawy taneczne. Poznań tańczy.

Wszędzie wre ruch i króluje uciecha. Tylko w gmachu przy pl. Wolności w Komendzie Woj. Policji Państwowej policja zabiera się do poważnej pracy. Świadczy o tem gwar, jak na tak późną porę niebawem. Padają skoordynowane rozkazy. Zarządzona została bowiem na noc z 3 na 4 lutego obława. Trzeba więc ją przygotować i porozdzielać ludzi. Obława obejmuje teren tylko 3 Komisariatów, działających w śródmieściu, a więc komisariaty I, IV i VI. Zebrało się 120 funkcjonariuszy policyjnych — 120 osób, dla których niema ani nocy, ani karnawału. Rozdzielono ich po 40 na każdy komisariat i oddano pod komendę poszczególnych kierowników komisariatów.

Bierzemy udział w obławie!

Dzięki uprzejmości Komendy i Wydziału Śledczego na miasto Poznań bierzemy udział w obławie. Przydzielono nas do IV Komisariatu i oddano pod komendę asp. Tolwińskiego, kierownika Brygady pościgowej wydziału śledczego i asp. Krupowicza, kierownika IV Komisariatu. Zarządzono zbiórki i podzielono zebranych na 2 oddziały. Pierwszy oddział przeprowadzi obławę na terenie ul. św. Wojciecha i okolicy, drugi pod komendą asp. Krupowicza urządzi obławę na t. zw. „podwórzu Barlebena”. Otrzymujemy przydział do drugiego oddziału i kilka minut przed godziną 23-cią ruszamy. Idziemy grupkami. Już na Wolnicy natrafiamy grupę ludzi. Podejrzani? Nie. Tylko pijani. Ponieważ zachowują się jednak bardzo głośno i niesfornie, zostają przytrzymani i odprowadzeni na Komisariat. Jeden z posterunkowych rzuca trafną uwagę: „Lepiej zaraz, bo i tak rano nie libyśmy z nimi do czynienia”. Idziemy dalej.

Krocimy przez poznańskie ghetto. Ulice: Szewska, Żydowska i Kramarska. Raz po raz posterunkowi dzielą się z nami swymi uwagami, wykazując świetną znajomość terenu. „Proszę, oto mykwa — rytualna kąpiel żydowska”. „Ten odrapany z zewnątrz dom, to stara bóżnica obecnie zamieniona na dom mieszkalny. Z zewnątrz ruina, ale wewnątrz pałac”. Przechodzimy przez pl. Stawny i kierujemy się na ul. Piaskową, odnogę Wielkich Garbar. Podwórze Barlebena, cel nasz, stanowi odgałęzienie ul. Piaskowej. Znane jest i oślawione jako miejsce zamieszkania poznańskich mętów społecznych szczególnie nożowników. Tutaj miał swą rezydencję mistrz noża Ernest Surdyk, bandyta, przez długi czas nieuchwytny, którego jedyną bronią był nóż. Przeciwnika klął i krajał, ale nigdy nie zabijał. Drugi stały mieszkaniec podwórza Barlebena to Machowski. W ub. roku wyrwał on na ul. Północnej samotnej kobiecie torebkę i uciekł. Na szczęście przez napadniętą alarm kilku przechodniów rzuciło się za nim w pogoń. Rozpoczęła się szalona gonitwa po ulicach nad Wartą. Zdało się, że Machowski już jest stracony, wtem rzucił się do rzeki i przepłynął je. Nie uciekł, bo na drugiej stronie wyrósł jak z pod ziemi posterunkowy, ale i ten nie zdołał przychwycić złodzieja, który ponownie rzucił się do Warty, przepływając zpowrotem na drugi brzeg. Ujęto go tego samego dnia, lecz po dłuższej pogoni. Jednym z mieszkańców tego zaułku zbrodni to sprawca zabójstwa szofera przed restauracją „Atlantic” przy St. Rynku, która miała miejsce pod koniec 1932 r. Wszyscy oni obecnie pokutują za swe przestępstwa w więzieniu. Miejsce tamtych zajęli inni.

Na podwórzu Barlebena.

Zbliżając się do ul. Piaskowej, zauważyliśmy u jej wylotu dwóch osobników, którzy na widok mundurów policyjnych poczęli się oddalać. Ponieważ czynili wra-

żenie wartowników, ujęto ich. Jednego z miejsca zwolniono — był to kulawy nędzarz. Drugi około dwudziestokilku lat liczący młodzieniec, nazwiskiem Piotrowski, został przytrzymany. Wchodzimy na podwórze Barlebena. Właściwe określenie na nie byłoby uliczka lub zaułek. Jest to wąska wybrukowana kocimię łebkami ulica, łącząca ulicę Piaskową z ul. Szyperską, ale od tej ostatniej odgródzona wysokim murem. Dookoła tego podwórza ustawione są niskie parterowe domki o małych oknach. „Kamienica” taka obejmuje 2 lub więcej mieszkań. Nie więc dziwnego, że mieszkania składają się tylko z 1 izby i to jeszcze mikroskopijnych rozmiarów. W izbie takiej mieszkają przeciętnie 3 osoby. Jak tam panuje powietrze i jak tam ludzie się gnieźdzą, trudno sobie wyobrazić. Trzeba to widzieć, aby wytworzyć sobie choć nikłe wyobrażenie o tej okropności.

Przygotowani na najgorsze wchodzimy na podwórze. Obchodzimy kolejno wszystkie mieszkania. Brud potworny — zaduch okropny. Z chwilą otwarcia drzwi zaduch uderza w nas jak obuchem. We wnętrzu mieszkania trudno długo wytrzymać. To też po rozejrzeniu się natychmiast opuszczamy te nory, pozostawiając tam posterunkowych. Jedno mieszkanie było szczególnie potworne. Była to nora poprostu gorsza od nory jaskiniowców. Mały pokój o rozmiarach zaledwie 2 na 2 m, pozbawiony zupełnie

Z uczuciem zgrozy opuszczamy podwórze Barlebena, siedlisko ludzi wyrzuconych poza nawias społeczeństwa.

Obchodzimy jeszcze całą ul. Piaskową. Zahaczamy o mieszkanie 24-letniego B., który ostatnio ożenił się ze znacznie starszą od siebie właścicielką 1-pokojowego mieszkania. Zapytany o przyczyny tego kroku odpowiada stanowczo, że żona jego posiada grubą pościel. Zimą to się może przydać!

Przy końcu ul. Piaskowej znajduje się rozległy plac a na nim liczne wozy.

— Teraz zima — objaśnia nas jeden z posterunkowych — to nikogo niema, ale latem wozy te służą za mieszkania licznych bezdomnym, wśród których obława nieraz znajdzie kilku oddawna poszukiwanych.

W oślawionej melinie Kusiowej.

W drodze powrotnej obława zatrzymuje się w lokalu Koniecznego przy ul. Wielkie Garbary, gdzie przytrzymało dwie kobiety, podejrzone o uprawianie tajnego nie-rządu. Na widok granatowych mundurów, obie ukryły się w toalecie, skąd nie chciały wyjść, mimo kilku wezwań. Dopiero groźba, że ustawi się pod drzwiami posterunek do samego rana, zmusza je do opuszczenia kryjówki.

(Dokończenie na str. 13-ej).



U góry: Śródmieście Poznania wieczorem — ul. 27-go grudnia. Ma prawo: Żebraczka — zasiedziała obywatelka „podwórza Barlebena”.

okien służył za nocleg dla sześciu osób. Całe umeblowanie składało się ze złamanego stołu, opartego o ścianę. Na ziemi, na brudnym barłogu leżało sześciu cyganów. Trudno opisać fetor, jaki wiał przez otwarte drzwi. Przejęci wstrętem wychodzimy z asp. Krupowiczem na podwórze, na którym w międzyczasie zapanował ruch. Z okien wyglądają mieszkańcy przestraszeni najściem policji. Pod ścianą przemykają się chyłkiem postacie wracających do domu. Jednego z nich poznaje wprawne oko asp. Krupowicza. To stały mieszkaniec więzienia poznańskiego: zawodowy złodziej — Rudel.

Ponury nastrój — nie wesola rozmowa.

— Co ty tu robisz o tej porze? — zapytuje go komendant.
— Spieszę do żony — brzmi odpowiedź.
— Nie siedzisz w więzieniu?
— Dopiero w październiku je opuściłem.
— A kiedy tam wrócisz? — pyta jeszcze z żartobliwym śmiechem aspirant.
— To już zależy od pana komendanta — pada dowcipna odpowiedź.

Oświetlona latarką elektryczną twarz Rudla przybiera grymas wesołego uśmiechu.

Rudel, jak się później dowiadujemy, jest złodziejem ztwardziałym. Niedawno dopiero zawarł związek małżeński a prosto z Urzędu Stanu Cywilnego powędrował do aresztu. Właśnie w dniu ślubu policja zdobyła dowód jego kradzieży.

(Dokończenie ze str. 12-cj).

Oddział pierwszy, który przeprowadzał obławę pod kierunkiem asp. Tolwińskiego, odwiedził cały szereg lokali publicznych i kilka melin złodziejskich.

Klasyk meliną to osławione mieszkanie niej. Zofji Kusiowej, przy ul. św. Wojciecha 2. Mieszkanie, złożone z 4 pokoi, dostarcza noclegów kilkudziesięciu osobom, złodziejom, żebrakom i prostytutkom. Na wezwanie policji otwiera mieszkanie właścicielka spelunki Kusiowa, która policję przywitała z wielkim oburzeniem. Znak to, że nie ukrywa ona nikogo, w przeciwnym razie byłaby skromna i układowa. Istotnie oprócz jednego złodzieja Leisera, który opuścił dopiero więzienie, żebraka bez nóg, leżącego od dłuższego czasu na łóżku, pełnym robactwa i kilku kobiet, wśród których znajdowała się także chora córka Kusiowej, nie znaleziono nikogo. Reszta łóżek była pusta. Ogółem w jednym tylko pokoju Kusiowa potrafiła ustawić 8 łóżek. Melina Kusiowej pamiętna zostanie choćby z tego, że w niej spędzili pierwszą noc po dokonaniu zbrodni, straceni już na podstawie wyroku Sądu doraźnego, Bronisław Bednarczyk i Jan Grelka, mordercy ś. p. ks. Masłowskiego.

Drugą meliną odwiedzoną przez policję, było mieszkanie suterenu Fiebachowej przy ul. św. Wojciecha 25. Brudne jeszcze więcej, niż poprzednie.

Oddział ten obszedł w dalszym ciągu liczne jadłodzielnice i restauracje, przyczem w restauracji „Londyńskiej” przy ul. Masztaleskiej, przychwycono gospodarza na nielegalnym wyszynku alkoholu. Mandat karny jest pewny.

Do wszystkich melin i lokali pierwszy wkraczał asp. Tolwiński, który okrzykiem: Policja, legitymować się! — zmuszał wszystkich do przedłożenia papierów osobistych. Kto ich nie posiadał, wedrował na Policję.

Na terenie Komisariatu I dokonano rewizji w szeregu lokalach w okolicy St. Rynku. Rezultatem było doprowadzenie kilkunastu podejrzanych kobiet i mężczyzn. Obławę kierował podkom. Sauter.

Stosunkowo najmniej efekt dała obława, przeprowadzona na terenie Komisariatu VI. Złustrowano, pod kierownictwem st. przod. Gromadzińskiego — kierownik komisariatu kom. Laufer jest czasowo przydzielony do Komendy Woj. P. P. — liczne lokale przy ul. Garnarskiej, Półwiejskiej i św. Marcina.

Tak więc w nocy, w której obywatelstwo miasta używało beztroskiej rozkoszy karnawału, kiedy we wszystkich salach, jakie Poznań ma do dyspozycji, posuwały się pary w taki rzewnego tanga, czy skoczno goberka, 120 stróżów bezpieczeństwa odwiedzało nory i najgorsze spelunki w poszukiwaniu za tymi, którzy mogliby zakłócić spokój bawiących się. Niełatwe to zadanie. Na każdym progu meliny czyhać może nieszczęście. Tysiączne zarazki chorobowe, jakie napętniają powietrze zakazanych melin, wdychać muszą posterunkowi, przeszukujący podejrzane knajpy i mieszkania. Nierzadko jeszcze muszą tego i owego osobnika zrewidować za ukrytą bronią. Po odwołaniu obławy, praca dla policji jeszcze się nie skończyła. Doprowadzonych około 60 osób, trzeba przesłuchiwać, spisać protokół i zwolnić albo przekazać do aresztu. Późnym rankiem policja zakończyła pracę. Wracając napotkali wracających z balu. Jedni i drudzy spieszyli do domu. Policjant po przepracowanej — gość balowy po przełajowanej nocy.

Obławy powtarzają się co kilka dni, aczkolwiek dzienniki na drugi dzień ograniczają się tylko do lakonicznej wzmianki.

S-i.

JEJ TYP...

(Dokończenie ze str. 7-cj).

Zaczęła się sielanka dziewczyny o nieuleczalnie chorej duszy i młodego człowieka, nieuleczalnie chorego na serce.

Rachel z dnia na dzień stawała się silniejsza. Wszystkie swoje siły, każdą wolną chwilę poświęcała oddając pielęgnacji przyjaciela, własnoręcznie wozila go po gładkim asfalcie ulic Bercka. Potem, gdy stan zdrowia Jerzego polepszył się o tyle, że mógł o własnych siłach się poruszać, rozpoczęły się romantyczne przejażdżki typowym dla Bercka wózkiem. Stale o pewnie określonej porze wózek zaprzężony w ulubionego przez młodych konia zatrzymywał się, aby zabrać młodych marzycieli na przejażdżkę. Były to najszczęśliwsze dni w życiu obojga. Niezdrowe, egzaltowane natury wyżywały się, kreśląc obrazy przyszłości z pełną świadomością, że nie ziszczą się nigdy, bo lekarz orzekł — że Jerzy Verron nie będzie już nigdy zdrowy.

To był początek końca. Nikt z Bercka nie umie powiedzieć, kiedy młodzi powzięli decyzję. Było już po lecie, kończyła się jesień, gdy pewnego dnia młodzi wyjechali do Paryża, aby jak mówili przedstawić się wzajemnie swoim rodzicom. Po kilkunastu dniach wrócili. Dziwnie uroczyści, tak, jak reżyser gdy realizuje ostatnią najśliczniejszą scenę swojego filmu. W rzeczywistości były to też ostatnie sceny.

W kilka dni później na ścieżce wśród niskich krzewów piaszczystych wydm znaleziono oboje siedzących z przestrzelonemi skroniami na wózku.

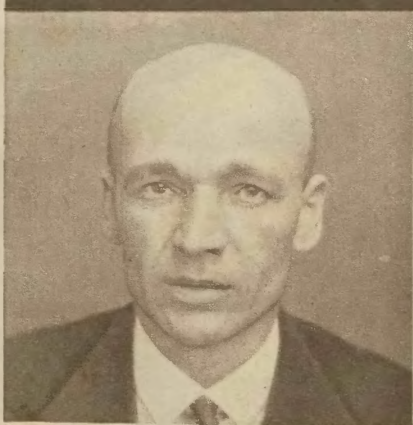
O. Z.

STAWISKI W INOWROCŁAWIU.

(Dokończenie ze str. 9-cj).

Kupiec Czabański sam musiał płacić w „Mascotte” 25 złotych za butelkę, czyli łącznie z procentem za obsługę i z podatkiem ówczesnym wynosiło to około 30 zł. Miał więc pretensje do Stawiskiego, że pośredniczył w kupie „Złoty Renet” u Makowskiego, a sam potem płacił za nie jako za „Haute Sautern” po 30 zł. za butelkę. Stawiski zarabiał więc na jednej butelce 23.50 zł. Podczas swojego pobytu w Inowrocławiu umiał Stawiski bardzo zręcznie reklamować swój lokal i wszystkich zapraszał, by odwiedzić go w Warszawie. Oczywiście, zaproszeni sędzieli, że ugości ich w ten sposób, jak oni jego w Inowrocławiu. Omylili się. Musieli płacić słone rachunki. Są świadkowie, że znany na Kujawach ziemianin książę Puzyra tracił za każdym razem kilkanaście tysięcy złotych w czasie jednego wieczoru. Stawiski znał tak doskonale lekkomyślny charakter swego

Szukamy! — Ścigamy!



Fabrykant listów miłosnych.

Od dworca kolejowego w Stryju wzdłuż ul. Mickiewicza prowadzą aleje kolejowe, t. zw. „Kolejówka”. Ul. Mickiewicza z małym przedłużeniem ul. 3-go Maja stanowią miejscowe „korso”.

Piękny dzień styczniowy. W kierunku korsa zdążyła sympatyczna panna Zosia N. W ślad za nią postępuje jakiś przyzwoicie ubrany mężczyzna, co nie uszło jej uwagi. Gdy skręciła w ulicę Sobieskiego, zastąpił jej drogę ów nieznajomy. Wręcza jej szybko list i ukloniwszy się „dworsko”, odchodzi. Panna spieklą raka, za miast do koleżanki, wstąpiła do najbliższego domu i w sieni odczytuje list. Zawiera on oświadczenie miłosne, podpisane przez Aleksandra Książca. Podaje, że jest obywatelem francuskim. Chciałby się ożenić, choćby bez majątku. Prosi o spotkanie.

Panna spieszy do domu, by opowiedzieć o zajęciu. Popołudniu udała się do przyjaciółki, chcąc się popisać swym powodzeniem. Tu dowiada się, że i ona otrzymała... podobne wyznanie miłosne, które też otrzymała inna panna, już zaręczona.

O wypadku zawiadomiono wydział śledczy. Na miejsce spotkania udał się wywiadowca, który przytrzymał fabrykanta listów miłosnych. Okazał się nim „rodowity Francuz” z pod

Zaginął bez śladu.

Marjan Przybycień (zdjęcie u góry), lat 11, uczeń 5-tej klasy szkoły powsz. im. Śniadeckiego w Krakowie, wyszedł z domu w dniu 3-go stycznia 1934 i dotąd nie powrócił.

Chłopiec jest wzrostu średniego, szatyn, oczy duże szare. Ubrany był w popielate ubranie, płaszcz w kratkę z czarnym kołnierzem, buty żółte, pończochy czarne i popielate skarpety. Czapka narciarska, granatowa.

Ktokolwiek wędziłaby o obecnym miejscu jego pobytu względnie wdział go, proszony jest o odprowadzenie go do domu względnie zawiadomienie rodziców.

Adres: Stanisław Przybycień, Kraków, ul. Dietla 86. P. K. O.

Stryja, Aleksy, recte Aleksander Kindus z Kawka (zdjęcie u góry), nie mał analfabeta, żonaty i „dzieciaty”. Wydział śledczy ustalił, że K. przed kilku laty wyjechał do Francji na zarobek. Po powrocie porzucił chłopski strój, przemienił się na „eleganta” i fabrykanta listów miłosnych.

Dotychczasowe dochodzenia nie zdołały jeszcze wykazać, jaki cel przyświecał Kindusowi, gdy fabrykował listy miłosne. Ponieważ zachodzi możliwość, że ktoś przez te „recepty miłosne” został poszkodowany, przeto poszkodowani powinni zgłaszać się w Wydziale śledczym.

SMUTNY FINAŁ ZALOTÓW.



Powyżej: Paulina Banaszewska, — Na prawo: Józef Wojtuściszyński.



Kobiety są naogół bardziej konsekwentne w przeprowadzeniu swoich celów niż mężczyźni, obojętne czy chodzi o złe czy dobre cele. Konsekwentną była też Paulina Banaszewska (zdjęcie u góry na lewo), mieszkanka Rycheic, oddalonych o 6 km. od Drohobycza. W ostatnich dniach stała się ona po raz drugi bohaterką krwawego rozrachunku rywali o jej względy. Banaszewską pozostawił mąż samą, wyjeżdżając przed czterema laty do Francji w poszukiwaniu zarobku. Młoda, 27-letnia kobieta, jakkolwiek miała dość pracy, aby bodaj jakolako utrzymać dwoje małych dzieci, znajdowała dość czasu, aby udzielić posłuchu wynurzeniom miłosnym mieszańcom Rycheic. Już w maju 1933 roku jeden z adoratorów jej, Kość Antonyk, zastrzelił Lwana Krawca i Lwana Pankowa, a trzeciego

rywala Piotra Stachowa ranil ciężko sztyltem. Smutne doświadczenie nie nauczyło niczego Banaszewską. Ledwie wyleczyła się z rany zadanej jej przez Kościa Antonyka, gdy już 4-go b. m. miało miejsce nowe zajęcie. Tym razem niejaki Józef Wojtuściszyński (zdjęcie u góry na prawo), przybywszy do domu Banaszewskiej i zaślawszy tam Wasyła Dudziaka i Oleksę Bosaka, nawiasem powiedziałszy człowiekowi żonatego i ojca dwojga dzieci, rzucił się na Dudziaka, a gdy Bosak stanął w jego obronie pobił go tak, że Bosak zmarł w szpitalu.

Sprawę aresztowano i odstawiono do więzienia w Drohobyczu.

Stawiski, słynąc również jako świetny automobilista, popisywał się brawurową jazdą na podmiejskich szosach. Jego „kawalerskie wyczyny” w postaci zawrotnej tempa 120 km. na godzinę na ludnej szosie były szeroko komentowane.

Korespondent Wasz poznał Stawiskiego osobiście podczas dancings w Domu Kuracyjnym. W Inowrocławiu mieszka bardzo wielu poważnych obywateli, którzy zostali nabrani przez pięknego Aleksandra; tylko wstyd przed kompromitacją powstrzymuje ich od przyznania się do tej znajomości.

Miedzy innymi wiele szczegółów z pożycia Stawiskiego z „piękną Hiszpanką” (tak bowiem nazywano jego towarzyszkę w Inowrocławiu), znają przemysłowcy inowrocławscy bracia Truszkowscy, rodowici Amerykanie, którzy również często odwiedzali Stawiskiego w Warszawie.

Henryk Lisiecki.

MORDERSTWO W POKOJU Nr. 700.

POWIEŚĆ KRYMINALNA
NAPISAŁ H. BRADLEY.

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD
HELENY HELLERÓWNY.

19)

Słyszał pan, co pan Darrow mówił przy telefonie?

— Nie słucham nigdy, sir.

— To głupio pan czyni. Lecz czasem słyszy się mimowoli to czy owo. Wiem zresztą, jak głośno pan Darrow mówił. Czy pan Darrow powiedział przy telefonie cośkolwiek, co by wskazywało, dokąd zamierzał pójść?

— Nie, sir. Rozmawiał tylko jak zwykle i, jeśli mi wolno zauważyć, to może tylko poważniej. Nie zwracałem oczywiście na to uwagi.

Ryder nie mógł opanować pewnego rozczarowania i złości. Dlaczego Wirginja Chaning nie powiedziała od razu, że początkowo kolacja miała być w mieszkaniu Darrowa? Wskutek tego, że Darrow uwiadomił ją o zmianie programu telefonicznie, mógł ktoś, kto to słyszał, dowiedzieć się, gdzie się później udadza.

Ale kto to mógł usłyszeć prócz Derwisha lub Renfewa? Niepokoilo go bardzo, że nie wyznała mu szczerze tych wszystkich szczegółów. Coprawda dała mu do poznania, że umówiła się z Filem telefonicznie dopiero popołudniu, kiedy był w takim rozpaczliwym nastroju. Zapewne poprzednio omawiane spotkanie nie miało dla niej większego znaczenia i dopiero telefoniczne nalegania Fila skłoniły ją do... Zupełnie jasne, że tak długo błągał ją przez telefon, aż... zgodziła się wreszcie zapakować walizeczkę, czego by inaczej nigdy nie uczyniła...

Ale zapakowała ją. Zatem była niewątpliwie gotowa ulec pokusie... Cóż go to jednak, do diabła, obchodziło. Nie miał żadnego prawa sądzić tej nieszczęśliwej, ściganej kobiety. Wiedział zresztą, że nazbyt dobrze, jak przymilnie Darrow potrafił błagać, jaki umiał być rozbrajająco wymowny, jak uparcie się o coś ubiegał, że brał wprost...

Lecz mimo to Wirginja Chaning mogła była omówić z nim szczerzej te rzeczy.

— Więc pan nie wiedział, gdzie pan Darrow wybiera się wieczór? — zapytał Derwisha.

— Oczywiście, że nie, sir.

Czy Derwish zauważył, że umyślnie nie pytam się go, z kim Darrow miał spędzić wieczór? — zastanawiał się Ryder. — Nie ulegało wątpliwości, że to zauważył. I niewątpliwie rozumiał, że ich obu, jako najbliższych Darrowowi łączy ciebie porozumienie odnośnie do kobiety, którą Darrow kochał. Dla nich dwojga ona przestała istnieć. Nie wiedzieli już nic o niej i nie wspominali jej. Pomimo tego przekonania Ryder byłby chciał wiedzieć, co myślał ten skryty i w dewocki sposób zamknięty w sobie lokaj.

— Czy pan wiedział o hotelowym mieszkaniu pana Darrowa?

Derwish wydawał się zakłopotany. Zawahał się, zanim przyznał:

— Owszem, sir, wiedziałem. Pan Darrow uczynił mi ten zaszczyt, że mi się z tem zwierzył.

— A czy jeszcze ktoś wiedział o tym tajemniczym apartamencie?

— Nie, nikt, sir.

— Nawet pan Renfew?

— Nie, sir. Właściwie, jeśli mi wolno to zauważyć, obecność tego... tego pana była główną przyczyną wynajęcia mieszkania w hotelu. Pan Darrow potrzebował przy pracy spokoju i nie chciał, by mu ktokolwiek przeszkadzał.

— Więc pan jest pewny, że był jedynym, który wiedział o tem schronieniu Darrowa?

— O ile mi wiadomo, to tak. W każdym razie pan Darrow dostarczył mi wszelkich powodów, bym tak przypuszczał.

— Czy numer jego pokoju był panu wiadomy? Czy był pan tam kiedykolwiek wogóle?

— Nie, nigdy. Nie wiedziałem też, w którym pokoju mieszkał. Jeśli miałem do przesłania jakąś ważną korespondencję, adresowałem ją po prostu do pana Derringa. Raz czy dwa razy telefonował po jakieś książki, które zanieśli do portjera. Nie miałem nigdy sposobności wejść do jego apartamentu.

— Przypuszcza pan, że portjer poznałby pana? — Możliwe, sir, jakkolwiek byłem tam tylko raz czy dwa.

— Więc jest pan święcie przekonany, że prócz pana nikt nie wiedział o tem hotelowym mieszkaniu? Nawet nikt z teatru?

— O nie, sir, to już najmniej prawdopodobne.

— Czy słyszał pan coś o tem, by pan Darrow zabierał czasem do hotelu jakieś kobiety?

— Nigdy, sir. Pan Darrow przyjmował zawsze wizyty w tem mieszkaniu.

— Zdarzało się, by sypiał też w hotelu?



— Tylko jeżeli tam bardzo długo pracował. Pan Darrow lubił swe mieszkanie i lubił również — o ile mogą być tak zrozumieli, by to nadmienić — abym był w jego pobliżu.

— Zupełnie zrozumiałe... Lecz od jak dawna miał to hotelowe mieszkanie?

— Mniej więcej od roku — odparł bez wahania Derwish, potwierdzając tem samem zeznanie portjera.

— Czy pan Darrow wspomnił panu wczoraj, że może nie wróci na noc do domu?

— Och, sir, nie mówił tego wyraźnie. Gdy pan Darrow był już ubrany — oczywiście nie włożył smokinga — oznajmił mi: „Miej się dobrze Derwish. Jutro się zobaczymy!” I z temi słowy wyszedł.

Głos służącego zadrżał nieco przy ostatnich słowach. Ryder mógł sobie doskonale wyobrazić Darrowa w tej przed chwilą opisywanej sytuacji. Był wesół, zapomniawszy już o ostatnim przygnębieniu i cieszył się pewnem zwycięstwem, jakie go czekało. I tak, niczego nie przeczuwając, szedł na śmierć.

— Aha... jeszcze jedno... Proszę się dokładnie zastanowić i powiedzieć mi o ile możliwości wszystko, co panu wiadomo o trybie życia pana Darrowa — to znaczy o jego miłostkach itd. Kto koło niego się kręcił i co mogłoby mieć jakikolwiek związek z tym tragicznym wypadkiem.

Karlówka twarz lokaja skamieniała w groteskowy grymas tępego uporu. Jego małe usta zacięły się:

— Proszę wybaczyć, sir, lecz nie zwykłem plotkować o osobistych sprawach moich chlebodawców. Jestem...

— Dość tych głupstw — przerwał mu Ryder — nie chodzi tu o żadne plotki. Trzeba, by pan nam pomógł znaleźć mordercę. Najmniejszy szczegół, każda drobnostka, część rozmowy, podsłuchany telefon może mieć przy tem olbrzymie znaczenie. Poza tem nie idzie tutaj o pana prywatne życzenia — dodał umyślnie ostro — lecz o policyjne zadania, które pan musi spełnić.

— Wiedziałem, że pan pełni jakieś oficjalne funkcje — odrzekł na to Derwish z triumfem i podejrliwością, nie bacząc nawet na pełną namaszczenia gorliwość.

— Zupełnie słusznie, gdyż jestem prokuratorem. Wiem pan doskonale, że mogę pana odesłać do prezydium policji celem przesłuchania... — Ryder zauważył, iż przy tych słowach wyraz oślego uporu na twarzy Derwisha spotęgował się. — Wolę jednak tutaj się z panem rozmówić. Wiem zresztą dość o znajomościach kobiecych Darrowa i o nocnych lokalach rozrywkowych, w których należał do stałych bywalców.

Derwish wziął ścierkę i zabrał się do dalszego czyszczenia srebra.

— W takim razie pozwolę sobie powiedzieć sir, że pan wie więcej ode mnie.

— Kto dzwonił najczęściej do pana Darrowa?

Ryder, zadając to pytanie, wychodził z tego założenia, że jeśli Darrowa prześladowała jakaś zazdrosna kobieta, która go wkońcu zastrzeliła, to zapewne też często dzwoniła.

Derwish zapomniawszy o wszelkich dobrych zasadach lokajskiej szkoły i wzruszył ramionami. Wkońcu przerwał milczenie, zniżając się do wyjaśnienia:

— O tem również nie mogę nic powiedzieć, sir. Pan Darrow ostatnio zawsze sam podchodził do telefonu.

— Ale musiano przecie też telefonować jak go nie było w domu.

— Owszem, sir. Wówczas zawsze przy aparacie były kobiety...

— Panna Fane?

— Och, niezbyt często, sir. Już oddawna nie. Może — Derwish zastanawiał się z wysiłkiem — raz na tydzień, lecz nie tak często jak dawniej, pan zdaje się rozumieć co myślę.

— Oczywiście. A inne panie?

— Ach, to nie szczegółowo.

— A pan osobiście nie ma żadnych podejrzeń?

Derwish czyścił w zamyśleniu nóż do ryb.

— Może, sir... należałoby wspomnieć o tem, że dzwonił czasem jakiś pan, sądząc po głosie cudzoziemiec... tak, dzwonił często i nigdy nie chciał podać nazwiska. I właśnie wczoraj przedpołudniem znowu dzwonił i słyszałem, jak pan Darrow z nim rozmawiał i nagle krzyknął gniewnie: „Niech pan się nie waży mi grozić!” Tak, pamiętam, powiedział i odłożył słuchawkę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

HUMOR i politywki umysłowe

ZADANIE DETEKTYWICZNE Nr 68.

pan Teon.

TAJEMNICZY ANONIM.

(Dokończenie z Nr. 5-go).

Tymczasem dwaj wywiadowcy Golej i Kumecki szli na ulicę Miodową, znajdującą się o kwadrans drogi od komisariatu. Rozmawiając ze sobą o rzeczach obojętnych, nie zauważyli nawet, jak znaleźli się na Miodowej. Zaczęli od poszukiwań za numerem domu 23. Przeszli prawie całą ulicę wzdłuż, nie znajdując poszukiwanej liczby. Wkońcu znaleźli się przed wielką kamienicą czynszową, oznaczoną numerem 23. Weszli do bramy i po chwili rozglądali się ze zdumieniem po maleńkim, brudnym, kwadratowym podwórzu, typowym dla wielkich kamienic miejskich.

— Czy to napewno nr. 23? — zapytał wywiadowca Golej towarzysza, rozglądając się ironicznie po szarych murach. — Tu nie tylko drewniana szopa, lecz nawet nie zmieściłaby się buda dla psa, a gdyby się nawet zmieściła, toby psu ogon na ulicę wystawał!

— Na tem podwórzu napewno szopa nie stała! — odrzekł flegmatycznie Kumecki. — Poszukajmy lepiej w innych kamienicach. Może zaszła pomyłka w adresie!

Uznając zdanie to za zdrową myśl, ajenci obeszli wszystkie najbliższe położone domy, lecz przekonali się wkrótce, że wszędzie są tylko małe podwórka, szopy zaś ani śladu.

— Widocznie komisarz dostał zmyśloną wiadomość! Na wszelki wypadek zapytajmy dozorcę!

Dozorca domu nr. 23 zamykał właśnie swe mikroskopijne podwórko, z takim nabożeństwem, jakby to był cenniejszy salon.

— Przepraszam. Może nam pan powiedzieć, czy nie stoi gdzieś w okolicy szopa na podwórzu? — zapytał Golej dozorcę, częstując go papierosem. — My jesteśmy, widzi pan kupcami i styszeliliśmy, że w tej szopie jest stare żelazo do sprzedania! — dodał w formie objaśnienia.

Dozorca spojrzął na nich podejrzliwie.

— Nie! Żadnej szopy nie widziałem w pobliskich kamienicach! Ale kto to panom nagadał o szopie? Pewnie ten narwaniec chemik z trzeciego piętra!

— Któż to jest?

— Eh! Jeden zwarzowaniec. Już może ze dwa razy zagadywał mnie, czemu to szopa nie stoi na podwórzu. Ot jak zwykłe warjat, tyle tylko, że nieszkodliwy! Mieszka w tej kamienicy, klepie biedę i jest trochę... tego! — pokazał znacząco palcem na czoło. — Gdyby to więc on panom nabujał coś o szopie, to proszę nie wierzyć, bo on lubi misztifikować gości...

— Mistyfikować! Ha, trudno, widocznie nabrali nas!

W godzinę później komisarz Wilski otrzymał od wywiadowców szczegółowy raport o wynikach poszukiwań.

Tak się zaś zdarzyło, że tego samego dnia wieczorem Wilski znalazł się na półoficjalnym przyjęciu u nadkomisarza Zaleskiego. Na zebraniu tem był również obecnym sławny zagraniczny grafolog-jasnowidz Otto Bärman. Daleko sięgała sława tego genialnego psychografologa, który nie tylko na podstawie ścisłej grafologii, ale zapomocą sobie tylko właściwego "daru jasnowidzenia" określał charakter, wiek a nawet przyszłość i przeszłość osoby, której pismo badać mu przychodziło.

Na zebraniu u nadkomisarza oczywiście całe zainteresowanie obecnych skupiło się na zażywej, tryskającej zdrowiem postaci psychografologa.

W trakcie ożywionej rozmowy nadkomisarz Zaleski, mały, czarny człowieczek o przenikliwym wzroku wyjął z biurka czarno oprawną książeczkę i zwrócił się z uśmiechem do grafologa:

— Pan mi wybaczy, mam nadzieję, że trudzę go takim głupstwem, ale korzystając z pańskiej świetlej

wiedzy, chciałbym zasięgnąć pewnych informacji o psychice interesującego mnie ze względów kryminologicznych mordercy seksualnego, któregośmy niedawno ujęli. To, co trzymam w ręce, jest jego własnoręcznie pisanym pamiętnikiem. Może więc łaskawy pan zechce przeczytać parę wierszy i określić nam samego zbrodniarza!

Grafolog bez słowa wziął pamiętnik do ręki i otworzył go na chybił trafiał.

— Jest to typowe pismo zbrodniarza! — oświadczył z lekkim cudzoziemskim akcentem. Oto tu, jak widziacie panowie — w zdaniu „jestem zniechęcony” pierwsza litera „e” w słowie „jestem” zlewa się prawie z następną literą „s”, przyczem zupełnie nie jest podobna do drugiej litery „e” w tem samym słowie. Oznacza to niezdeterminowanie wewnętrzne. W słowie „zniechęcony” druga litera „n” nie jest podobna ani do pierwszej litery „n” ani wogóle do litery „n”. Jest to oznaką perwersji. Naogół litery w pamiętniku są pisane kańczasto, wyglądają jak noże czy też szpilety! Morderca mordował zapewne swoje ofiary zapomocą szpilety!

— Istotnie! — potwierdził komisarz.

— No, widziacie panowie! Proszę zatem uważać dalej. Litery są zaokrąglane w formie monet. Pewnie zbrodniarz potrzebował często pieniędzy! Tu znów w literach „k” jak panowie widzą — górna kreska pędzi gdzieś do góry i jakby zagraża komuś ostrym szpicem. Jest to oznaką buntu wobec nieba, sumienia i wobec rzeczywistości. Rzeczy litery są zboczone raz w górę raz w dół. Autor jest widocznie zboczeńcem. Literę „t” pisze w kształcie szubienicy. Przeczuwa zatem co go czeka. Identyfikacja litera „i” ma formę pętli. Przecinki zakacza autor haczykiem, widocznie chciałby się jednak zahaczyć na ziemi! Widać, że planuje nowe lotostwo na wypadek ulaskawienia. Poza tem typowe pismo okazu patologicznego!

Gdy skończył, obecni starali się na wyścigi okazać mu swój podziw. Istotnie tak zdolnego psychografologa nie zdarzyło się jeszcze nikomu ze zaproszonych oglądać. Nadkomisarz schował z zadowoleniem czarną książeczkę do biurka i chciał już zaprosić gości na partyjkę brydża, gdy komisarz Wilski wyjął pośpiesznie portfel i zaczął w nim gwałtownie grzebać. Albowiem przypomniał sobie właśnie, że posiada list pisany przez osobnika niewątpliwie anormalnego, manjaka i, z ciekawości tylko chciał dowiedzieć się czegoś bliższego o jego psychice. Znalazł wreszcie białą kopertę, wyciągnął z niej ten sam papier, jaki otrzymał rano i podał go grafologowi.

— To proszę pana, jest anonim, pisany przez człowieka anormalnego. Może pan będzie mógł powiedzieć coś ciekawego o autorze tego listu. Inetresuje mnie to choćby ze względów bezpieczeństwa publicznego!

Psychografolog wziął anonim do ręki, oglądał go dokładnie i nachmurzył się nieoczekiwanie.

— Pan ze mnie oczywiście żartuje! — oświadczył, uśmiechając się z przymusem i oddając zdumionemu komisarzowi papier zpowrotem. Ja z „tego listu” nie mogę niestety wyciągnąć żadnego wniosku o osobie, z ciekawością pana!

Komisarz stał przez chwilę, miętosząc machinalnie w rękach nieszczesny anonim i patrząc na Bärmana, jak na warjata. Po dobrej dopiero chwili zrozumiał powód dziwnego zachowania się grafologa.

Pytania: 1) Kto przypuszczalnie był autorem anonimu? 2) Jaki był powód dziwnego zachowania się grafologa?

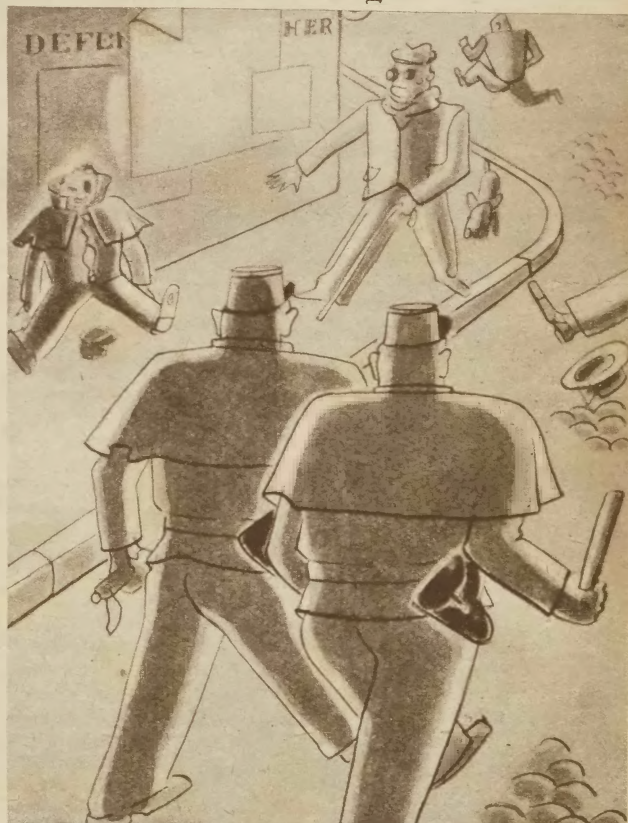
Za trafne rozwiązanie niniejszego zadania redakcja przeznacza 2 nagrody: I w kwocie Zł. 25 i II w kwocie Zł. 10. Rozwiązania należy nadsyłać w osobnych kopertach, opatrzonych napisem „Zadanie detektywiczne Nr. 68” do dnia 1-go marca b. r.



Do nabycia we wszystkich aptekach.

Humor zagraniczny.

Po aferze Stawiskiego.



Uwaga! Oto jeszcze ktoś z łuską! („Rire” — Paryż)

Na zesłaniu.



— A to doktorze jest więzień, którego podejrzewamy o bardzo ciężką chorobę.

— Dlaczego?

— Ponieważ do tej pory nigdy nie próbował uciec.

(„Rire” — Paryż)

Czy choroby płucne są uleczalne?

Pytanie to, nader ważne, zajmuje z pewnością wszystkich tych, którzy cierpią na astmę, nieżyt-szezytów płucnych, chroniczny kaszel, flegmę, długotrwałą chrypkę, grypę i dotychczas bezskutecznie się leczyli. Wszyscy ci chorzy otrzymają od nas — zupełnie darmo — książkę z ilustracjami Dr. med. Guttmanna, byłego naczelnego lekarza lecznicy Finsena pod tytułem: „Czy choroby płucne są uleczalne?”. Ażeby każdemu choremu dać możność wyjaśnienia sobie rodzaju swej choroby, zdecydowaliśmy się przesłać każdemu tę książkę za darmo bez opłaty portu, mając na oku dobro ogółu. Pocztówkę (znaczkę pocztową 20 gr.) z dokładnym adresem wysyła:

K. KEILICH, ODDZ. 868. ŁÓDŹ ulica GŁÓWNA L. 52.

TYGODNIK KRYMINALNO-SĄDOWY

ADMINISTRACJA

REDAKCJA

PRENUMERATA

KRAKÓW, UL. WIEŁOPOLE L. 1 (PAŁAC PRASY)

TELEFONY: 150-60 do 150-66
KONTOP K.O KRAKÓW 412.000

Wydawca:
Spółka Wydawnicza „KURIER”

KWARTALNA WYNOSI ZŁ. 3-50

Redaktor odpowiedzialny:
JAN STANKIEWICZ

Zakłady Graficzne „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego

OGŁOSZENIA: Strona dzieli się na 3 łamy à 80 mm. Cena za 1 mm w jednym łamie 70 gr. Drobne za słowo 15 gr. Nadesłanych artykułów nie zwraca się.



NA TROPIE MORDERCY!

Pies policyjny „Echo” biegnie w parku Kilińskiego we Lwowie, śladem mordercy Emilji Szew. — W kole: Hieronim Cybulski. — Wewnątrz numeru rewelacyjny reportaż.

Fot. „Tajny Detektyw”.

